

NASZ SĄSIAD: SIEDLCE

Jerzy Dostatni

Historia najnowsza

LIKWIDACJA „ZAPORY”

Hubert Kępski

„TAEKWON-DO” W NATARCIU

Przemko Maria Grafczyński

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KALINOWKA

LUBLIN 15 VI 1975 Nr 12 (576)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

SZKOŁA KAJ-a

Maciej Podgórski



Rys. T. Selbtor

W PAŹDZIERNIKU 1924 roku występował w Chełmie znany już podówczas artysta estrady, poeta i kompozytor — Aleksander N. Wertyński (Wiertński). Nie wiadomo, czy pieśniarz bawił tu przejazdem do Stanów Zjednoczonych

lub Chin, ale wiadomo, że jego popis stał się dla Chełma absolutnym wydarzeniem, tak samo jak nieco późniejszy radio-bal w sali reursy przy dźwiękach pierwszego w mieście głośnikowego aparatu radiowego, nieudają zresztą.

„Wiertński podobał mi się bardzo — napisze po latach Kazimierz Andrzej Jaworski — choć w pierwszej części swego recitalu w białym stroju pierrota, z uszmiłowaną, bladą

Dokończenie na str. 8-9

PROSzę o herbatę. Czekam nawet niedługo, nikt mi nie proponuje małej pliski, nastrój niemal rodzinny (?). Oglądam ostatni numer „Szpilek”, zwracam uwagę na zaskakującą okładkę. Spozna pisma patrzę na salę: kelnerki (jedna szczególnie uroczą) i kelnerzy uwijają się sprawnie... Normalka. Jestem w

„UNIA”

(Nie mylić
z pomnikiem)

Tadeusz Jasiński

„Unii”, najdroższej, ale i cieszącej się najlepszą opinią restauracji (kawiarni też!) w Lublinie. ORBIS ma swoją markę. Przecież to o „Unii” (gdzieś ten artykuł jest w mojej napęczniałej tecyce) pisał Zygmunt Bałkowski (ani swat, ani brat) w miesięczniku „Hotelarz” (czytaliście? no to posłuchajcie!): Przyznam się szczerze, że chodziłem i szukałem... dziury w całym. Nie kierowałem się zawiścią, lecz znaną nam wszystkim chęcią wybrzydzenia. Chodziłem, chodziłem i wreszcie znalazłem. Niechaj dowodem będzie dyżurny stółik w kawiarni, ustawiony na czolowym miejscu. Nie sprawia to cudoownego wrażenia. Potem autor bardzo się tłumaczy i pragnie być dobrze zrozumiany z powodu tak miążdzącej (!!) krytyki. I chyba dlatego kończy,

Dokończ na str. 4-5

NIELATWO było kiedyś nocą sforsować Kalinowszczyznę, lubelską dzielnicę knajaków. Ukryte w wąwozach parterowe domki, zbudowane nierzadko z wapiennego kamienia, były legowiskiem facetów spod ciemnej gwiazdy, którzy zdominowali normalną społeczność tej części miasta. Nie można powiedzieć, kwitło tu przecież specyficzne życie kulturalne, samorzutnie powstawały zespoły pieśni i tańca, które wieczorami, w miłym bulgocie denaturatu, często dawały występy. Działały również sekcje zapasnicze, nauczające raczej ataku niż obrony, tym tylko różniące się od odpowiednich kółek zainteresowań obecnego Miejskiego Domu Kultury przy ul. Pstrowskiego, w samym centrum Lublina.

Miejsce parterowych domków zajmują dziś wieżowce, punktowce oraz inne pojemniki substancji mieszkaniowej — mówiąc językiem urzędowym. Asfaltowe ulice prowadzą do lepszej przyszłości, a zieleni rozplenili się tak bardzo, że nawet dzielna młodzież nie może poradzić sobie z krzakami róż i trawnikami. Liczne sklepy i placówki

ALARM DLA KALINY

Ireneusz J. Kamiński

usługowe ułatwiają życie gospodyniom domowym oraz emerytom. W blokach zamieszkali również artyści, a jeden z nich otrzymał nawet pracownię plastyczną. Dobrze jest na Kalinowszczyźnie.

Całe to dobrodziejstwo zaczęło się gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy to spółdzielnia mieszkaniowa „Kolejarz” zdecydowała się pokryć wąwozy i fatalną tradycję tego rejonu rzędami nowoczesnych bloków. Najpierw postawiono trzy małe oraz dwa duże, a potem tyle, że aż zliczyć trudno. Pamiętając o zasadzie kompleksowego zagospodarowania terenu, zatroszczono się również o placówki usługowe: otwarto pocztę, jeden sklep spożywczy i kiosk „Ruchu”. Tłok panujący początkowo w tych lokalach i kolejkach przy budce z gazetami plus szampałony, tak, to nieco denerwowało, ostatecznie sprzyjając przeciwieństwu integracji młodej społeczności. Rychło zresztą sytuacja zmieniła się na lepsze.

Dokończenie na str. 4-5

W którym żyjemy

TYLKO POŁOWE...

GDYBY ziemi orne na naszej planecie były uprawiane tak wydajnie, jak farmy w Holandii, wówczas nasza ziemia mogłaby wyżywić 67 miliardów ludzi, to jest siedemnaście razy więcej, niż żyje na niej obecnie! — Jest to zdanie wyjęte z artykułu Edgara Owensa, eksperta amerykańskiej Agencji do Spraw Rozwoju. W angielskim dzienniku „The Guardian” zamieścił on pracę p.t. „Kryzys żywnościowy, czy kryzys społeczny?”

Problemy wyżywienia zajmują ostatnio poczesne miejsce na łamach prasy całego świata. Scierają się różne poglądy, głośno mówi się nawet o kryzysie żywnościowym. Kazimierz Barcikowski, minister rolnictwa PRL, polemizował z tą tezą w czasie trwania Światowej Konferencji Żywnościowej, która przy końcu ub. r. obradowała w Rzymie. Jego zdaniem nie należy mówić o kryzysie żywnościowym, ale o kryzysie dotychczasowej polityki rolnej na dużych obszarach świata. W jej rezultacie ograniczonym ilościom o wysokich cenach jednych produktów towarzyszą nadwyżki i trudności sprzedaży innych. Podtrzymuje się dochody rolnictwa przy jednoczesnym ograniczaniu produkcji rolnej, co prowadzi do wznoszenia barier hamujących rozwój wymiany międzynarodowej w tej dziedzinie, a tym samym ogranicza podział pracy w rolnictwie światowym. Logicznym następstwem jest niedorozwój produkcji nawozów mineralnych i innych środków produkcji dla rolnictwa i ceny tych środków, ograniczające możliwość szerokiego udostępnienia ich krajom o mniejszym potencjale ekonomicznym.

Delegacja radziecka na konferencję rzymską widzi możliwość rozwiązania problemu żywnościowego poprzez połączenie przeobrażeń socjalnych (reformy rolne w krajach rozwijających się, zmiana struktury gospodarki rolnej) z czynnikami ekonomicznymi (postęp agrotechniki, zagospodarowanie nowych ziem, podwyższenie żyzności gleby) i z czynnikami politycznymi (likwidacja neokolonializmu, dyskryminacji w handlu, uznanie suwerennych praw każdego narodu do dysponowania zasobami naturalnymi). Przewodniczący delegacji radzieckiej, wiceminister spraw zagranicznych ZSRR, Nikołaj Rodionow, oświadczył: Nie ma żadnych podstaw do pesymizmu, ponieważ światu daleko jeszcze do granic potencjalnych możliwości w produkcji artykułów żywnościowych. Obecnie na kuli ziemskiej wykorzystuje się tylko połowę zdolnych dla rolnictwa gruntów.

BEZDOMNI W RFN

DWIEŚCIE tysięcy obywateli w Republice Federalnej Niemiec nie ma stałego miejsca zamieszkania. Ich losy, przeżycia i degradację społeczną opisuje Mascha M. Fisch w obszernym raporcie, zamieszczonym na łamach „Deutsche Zeitung”. Scena — pisać — jak z „Na dnie” Maksyma Gorkiego. Tylko dialogi są inne. A także nazwiska. Wokół stołu siedzą na kula-

wych krzesłach nieogoleni mężczyźni. A pod ścianami przytę, wszystkie piętrowe, przykryte szarymi kocami. Śmieci na podłodze, wszędzie brudno, a na ścianie napis: „Tu wolno palić i oszukiwać.” Końcowa stacja społecznej degradacji. Zdrowy świat pozostał na zewnątrz, za starymi drzwiami z napisem „Miejski Dom Noclegowy”. W środku ludzie-wraki, ludzie o skostniałym wnętrzu, którzy nie spodziewają się żadnych radości i za niczym nie tęsknią.

Autor stwierdza, że odpowiedzialność za losy bezdomnych przejęło państwo. RFN, jak na kraj tak bogaty, nie najlepiej się z tego wywiązuje. Na 200 tysięcy ludzi bez stałego miejsca zamieszkania istnieje w RFN zaledwie 130 domów noclegowych lub domów stałego pobytu o łącznej liczbie 13 tysięcy miejsc.

W brudnym domu noclegowym w Koblencji, o którym mowa na wstępie reportażu, miejsce na przytę kosztuje 3 marki i jest trudne do zdobycia. Codziennie punktualnie o godzinie 22-ej przychodzi do domu policja, by sprawdzić meldunki. Często ktoś zostaje aresztowany. Sporo osób bezdomnych to byli więźniowie, którzy w anonimowości tego środowiska szukają ucieczki, zanim popadną w recydywę.

TAJEMNICE DŁUGOWIECZNOŚCI

BIOCHEMIK zachodniemiecki, Frederick Vester, opublikował na łamach dziennika „Die Welt” artykuł p.t. „Starość staje się piękna dopiero dzięki seksowi”. Autor przedstawia wyniki najnowszych badań nad długowiecznością, z których wynika, że nie dieta, wszelkiego rodzaju wstrzemięźliwość oraz leki farmaceutyczne przyczyniają się do przedłużenia życia człowieka, ale harmonijne współżycie z rodziną i otoczeniem, miłość, czułość i praca.

Typowy dla wszystkich ponad 100-latków był ich aktywny kontakt z otoczeniem. Nie przechodzili oni zdecydowanej zmiany rytmu pracy w wyniku przejścia na emeryturę. Codziennie wykonywali pożyteczną pracę, przeważnie fizyczną. Pewna 135-letnia robotnica rolna w górach Gruzji jeszcze przed kilku laty wygrała współzawodnictwo w pracy jako najszybsza zbieraczka herbaty, a zakończyła działalność zawodową dopiero po skończeniu 128 lat!

Jako dalszy istotny czynnik długowieczności badacze odkryli uznanie, jakim ze strony młodszych cieszą się starsi oraz szukanie przez młodszych rady u starszych. Ponadto zawsze brali oni udział w zabawach i świętach, przeważnie byli to ludzie żyjący w szczęśliwych małżeństwach i prowadzący aktywne życie seksualne długo po skończeniu stu lat. Badania radzieckie, przeprowadzone w stosunku do 15 tysięcy osób, potwierdziły właśnie ten stan, przy czym wiek taki osiągnęli przeważnie żonaci. Jeśli idzie zaś o erotykę, to 98-letnia córka 123-letniego górala z Andów opowiadała o niefrasobliwej radości swego ojca z „dziewczętami” — prawdopodobnie myślała przy tym o kobietach ponad

80-letnich — z którymi lubi flirtować, z uciechą dodając, że z uwagi na postępującą ślepotę ojciec nie jest w stanie widzieć swych partnerek i to, że są kobietami, może poznać jedynie poprzez dotykanie ich.

Rzecz zrozumiała, że w okresie długowieczności odgrywają również rolę czynniki uchodzące u nas za przedłużające życie: mieszkańcy wioski Shangri-La w dolinie Vilcabamba spożywają przeciętnie 1700 kalorii dziennie, a wiek połowę tego, co u nas. Ponadto umiarkowany klimat, stała porcja promieni słonecznych, stałe wiatry z jednego kierunku, brak hałasu, drażniących bodźców optycznych i spalin sprawiają, że nie spotyka się nadciśnienia i chorób serca, ani raka i że śmierć następuje zwykle w wyniku wypadku lub choroby przywleczonej przez obcych.

W całym procesie starzenia i izolacji odgrywa rolę dalszy, bardzo ważny czynnik, który ujawnił się przy badaniu witalnych starców z górskich wsi, a mianowicie sprawa żądania przez społeczeństwo sztucznego wyłączenia erotyki z życia starych ludzi. Poprzez wiele stuleci działalność seksualna człowieka łączyła się w oczach społeczeństwa wyłącznie z przedłużeniem gatunku, mimo że spełniała ona istotne zadania socjalne. Jeszcze do niedawna, jak np. na obradach krajowej centrali do spraw zdrowia w Nadrenii Palatynacie, nikt nie miał odwagi nawet pomyśleć, że harmonijne życie seksualne ma istotny wpływ na świeżość duchową i fizyczną, na równowagę psychiczną i tym samym na ogólny stan zdrowia organizmu. Dopóki jednak naszym staruszkom chcemy pomagać w utrzymaniu poczucia własnej wartości poprzez powierzanie im pilnowania dzieci i zakupów, przesuwając starsze pokolenie w inną zupełnie sferę i żądając od nich całkowitego zapomnienia o życiu seksualnym w jakiegokolwiek formie, tak długo geriatryka działać będzie po omacku.

HOMOSEKSUALIZM WE FRANCJI

WE Francji żyje 2-3 miliony homoseksualistów. Jaki jest stosunek społeczeństwa do tego zjawiska? Ankietę na ten temat przeprowadził Instytut badania opinii publicznej SOFRES na zlecenie tygodnika „L'Express”.

Statystyki dotyczące homoseksualizmu są nieliczne. Autor raportu na temat seksualizmu Francuzów, dr Pierre Simon, twierdzi, że 6 proc. ankietowanych przez niego mężczyzn i 3 proc. kobiet przyznało, że miało stosunki z osobami tej samej płci. Równocześnie 11 proc. odmówiło odpowiedzi na to pytanie, co pozwala przypuszczać, że w rzeczywistości procent homoseksualistów jest jeszcze wyższy.

Socjolog Michel Bon i psycholog d'Arcy przeprowadzili ankietę wśród 15 tysięcy czytelników pisma homoseksualistów „Arcadie”. Wśród tych, którzy deklarują się jako homoseksualiści, 39 proc. stanowią urzędnicy różnych kategorii, 22 proc. przedstawiciele kadry kierowniczej, 10 proc. przemysłowcy i przedstawiciele wolnych zawodów, 8 proc. kupcy lub sprzedaw-

cy, 7 proc. robotnicy i rzemieślnicy, 5 proc. studenci, 4 proc. — bez zawodu, emeryci, 5 proc. rolnicy, artyści, księża, 8 proc. uczestników ankiety ma żonę, 7 proc. stanowią rozwiedzeni, 40 proc. żyje w parach homoseksualnych.

Z informacji podanych przez uczestników ankiet wynika, że ukrycie zainteresowań seksualnych osobami tej samej płci jest dla homoseksualistów największym problemem. O tym, jak odczuwają stosunek społeczeństwa do nich, świadczą następujące dane: 27 proc. ankietowanych nie chce, aby o ich skłonnościach wiedzieli przyjaciele odmiennej płci i w środowisku zawodowym. 42 proc. nie życzy sobie, by wiedzieli o tym krewni i sąsiedzi. 26 proc. stwierdziło, że cierpi z powodu poznania ich „tajemnicy” przez otoczenie.

A jak społeczeństwo francuskie faktycznie ustosunkowało się do homoseksualistów? Aczkolwiek 85 proc. uczestników ankiet przeprowadzonej przez SOFRES twierdzi, że czuje się równie dobrze z homoseksualistami, jak z innymi ludźmi, to tylko 24 proc. uważa, że homoseksualizm jest możliwą do zaakceptowania formą przeżywania swego seksualizmu. 22 proc. sądzi, że jest to raczej zboczenie płciowe, z którym należy walczyć, a 42 proc., że to choroba, którą należy leczyć. Równocześnie 40 proc. respondentów aprobuje określenie homoseksualizmu przez prawo francuskie jako „plagi społecznej”. Tu należy dodać, że na mocy ustawy z 1960 roku homoseksualizm tak właśnie został zakwalifikowany (podobnie jak alkoholizm, prostytutka czy gruźlica). Prawo przewiduje, że akty uważane za obrażę moralności są karane wyrokami dwa razy wyższymi, jeśli zostały dokonane między osobami tej samej płci, natomiast homoseksualizm jako taki nie jest karalny.

BEZSENSOŚĆ

NA bezsensność cierpi 53 proc. Włochów w wieku ponad 21 lat. Taką wiadomość opublikowało grono lekarzy neurologów, stwierdzając jednocześnie, że społeczną chorobą bezsensności jest zewnętrznym objawem napięcie wywołanych warunkami życia w erze technologii. Rosnący hałas, zakłócenia w systemie nerwowym wywołane koniecznością prowadzenia pojazdów po wiecznie zakorkowanych ulicach miasta, wyciekiy zatrujące powietrze, brak kontaktu z naturą, nadmiar bodźców zewnętrznych wywołanych m. in. oglądaniem telewizji, szczególnie wieczorem, rosnące napięcie, jakiego wymaga praca zawodowa, pogoń za karierą i chęć wybicia się — oto główne przyczyny stanów psychicznych i nerwowych, uniemożliwiających zażnięcie.

Lekarze sądzą, że człowiek przystosuje się stosunkowo szybko do zmieniających się warunków życia. Opowiadają się oni za koniecznością zmiany trybu życia i wydaniem walki hałasom, a także podają główne stosowane metody walki z bezsensnością: środki uspokajające, alkohol (!), albo najlepiej... przysłowiowy pocałunek na dobranoc.

GARMONDEM

ZBIERAJCIE surowce wtórne! Zbierajcie złom, szmaty, makulaturę! Zbierajcie suchy chleb, kości! W całym kraju rozlega się apel.

Tymczasem Zakłady Mięsne w Zamościu wywożą dziesiątki ton kości do lasu za Barchaczem

wem, gdzie pali się je, zakopuje, a watahy psów rozciągają je po okolicy.

Prawdopodobnie dzieje się tak dlatego, że sąsiad Zakładów z zamojski „Bacutil” kości nie przyjmuje.

No więc po co zbierać kości? SIE

DALEKOBIEŻNE pociągi mają już w swoich składach wagony z obszernymi miejscami barowymi. Kłopoty z napojami, tak dające się nie-

gdys we znaki, należą do przeszłości. Niestety, gorzej jest z jedzeniem. 30 maja b.r. jechałem ekspressem Warszawa-Opole (wyjazd ze stolicy przed 17-a). Bar proponował jedynie serdelową kielbasę na gorąco w cenie ok. 21 złotych za porcję. Na moje pytanie, dlaczego nie ma większego wyboru, padła odpowiedź: „Bo lodówki popsute.” W dodatku kielbasa była niesmaczna: pasażerowie po skosztowaniu niejednokrotnie zostawiali ją na stoliku. Bufetowy sprzedawał piwo i nikogo nie uprzedzał, że po-

biera dwuzłotową kaucję za butelkę. Ponieważ sporo pod różuje, stwierdzam, że nie pierwszy to tego rodzaju wypadek. Dlatego zapytuję dyrektora WARS-u, p. Pączka, którzy w tym numerze odpowiadają na inną krytyczną uwagę „Kamena” (a ściślej prosi o dodatkowe informacje), co dyrekcja zamierza uczynić, aby położyć kres lekceważeniu podróży i ukrocić nieuczciwe zarobki personelu?

JAM

rym powodzeniem gdzie indziej, przepadła frekwencyjnie na dużej scenie lubelskiego teatru dramatycznego. W ciastym pomieszczeniu przy ul. Okrzei występował także „Teatr Ochoty” Machulskich, gościli Barszczewska, Mikołajska, Olbrychski, Perepeczko, Voit, a z innej branży — trener Górski. Dodajmy jeszcze, że przy klubie istnieje dziecięce kółko miłośników teatru lajkowego oraz koło PTTK, zyskujące nagrody w różnych konkursach.

Imponujący rejestr działalności małej placówki kulturalnej nie wyczerpuje przecież jej aktywów. Dorobiła się ona bowiem czegoś zupełnie wyjątkowego, rzadko spotykanego w tych rejonach, gdzie płynność kadr jest nadal problemem, a aktywność ma nierzadko charakter statystyczny. Klub spółdzielczy zyskał mianowicie rangę autorytetu moralnego w środowisku. A to już duża sprawa.

Sprawcą tej całej historii, nieco zapewne irytującej dla licznych w naszej kulturze niemrawców, jest Krystyna Olkiewicz, kierowniczka klubu.

W pokoiku szefa leżą książki tematycznie związane z upowszechnianiem kultury, z których wynika, że stosowanie się do zawartych w nich zaleceń metodologicznych gwarantuje absolutny sukces działalności ko. Krystyna Olkiewicz zagląda często do tej literatury, ale wydaje się, że w praktyce bardziej ufa instynktowi i własnemu, ludzkiemu doświadczeniu. Twierdzi zresztą, że skuteczność w pracy kulturalnej nie tyle jest kwestią doskonałości zawodowej, co osobistego, bez mała emocjonalnego stosunku człowieka do tej roboty. „Studia na uniwersytecie wrocławskim się pożyteczne i potrzebne, ale coś mi się wydaje, że zamiast rosnąć, wykrusza się kadra autentycznych działaczy kultury, którzy związali się ze sprawą spontanicznie, z wewnętrznym przekonaniem”.

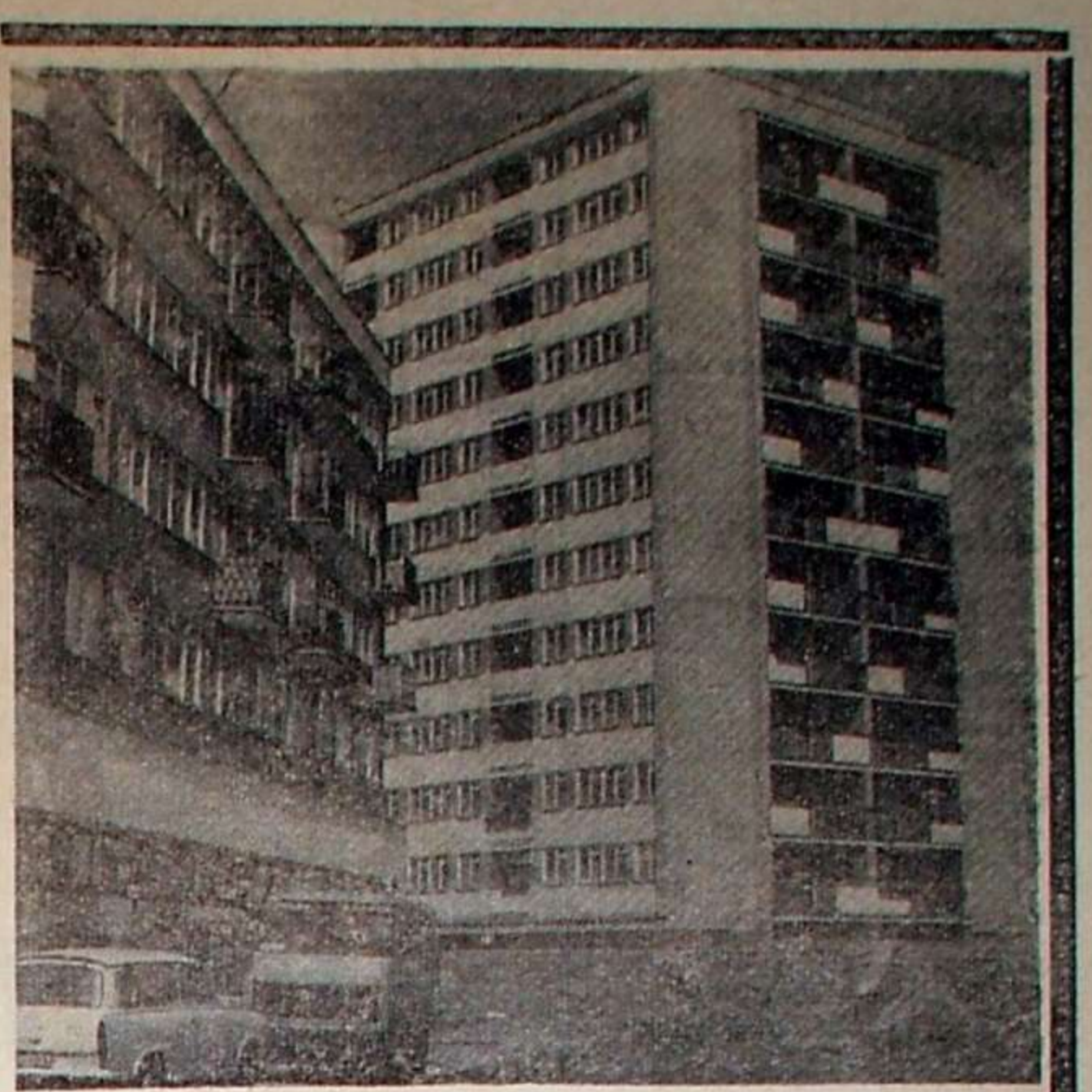
Krystyna Olkiewicz, kieruje się własnym programem, ściągając spod baru „Kaprys” kłopotliwą klientelę, proponując chłopczkom koktajle z soków owocowych. Nie dzieje się to przecież na kartach powieści z ładną tezą, lecz w scenarii brutalnego życia, więc gości szlag trafia, że pożywienia mało, a na dodatek każą im to pić przez słom-

kę. Odchodzą. Ale jeden został przy klubie. Za innym chodziła osiem miesięcy — do zakładu pracy, gdzie go po trudnościach ulokowała. Przez ponad dwieście dni sprawdzała, czy podopieczny nie zerwał przypadkowo kontaktu ze społeczeństwem. Ani nie należało to do jej obowiązków, ani nikt jej dodatkowo za owo czuwanie nie płacił. Na domiar wszystkiego młody obywatel Kalinowszczyzny rzucił niedawno robotę, ucinając perswazje krótkim i dość zaskakującym zdaniem „Jestem dorosły, wiem co robię!” Więc beznadziejne są te wysiłki Krystyny Olkiewicz?

Twierdzi, że nie, że coś dobrego zostaje w młodej świadomości. Naiwna?! Czy ja wiem, skoro rodzice przychodzą do niej po porady wychowawcze, wypisują na kartkach adresy i numery domowych telefonów, prosząc o kontakt, a „Klub Złotego Wieku” przydreptał za panią Olkiewicz do budynku przy ul. Okrzei...

Przy klubie działa aktyw młodzieżowy, powołany nieoficjalnie przez kierowniczkę, klub pozostaje w bliskich związkach ze szkołą podstawową nr 37 na Kalinowszczyźnie, chwalać sobie zresztą tę współpracę, a także z liceum na Czwartku. Placówka wrosła w środowisko, okoliczni mieszkańcy doceniają jej działalność.

Tymczasem Krystyna Olkiewicz mówi, że obawia się przyszłości, którą określi zagłębie węglowe. 60 metrów kwadratowych powierzchni klubowej to już dzisiaj kropla w morzu potrzeb kulturalnych tych osiedli, to ostry hamulec jakiegokolwiek działania, które miałyby wyzwolić w ludziach aspiracje wyższego rzędu. Ta klitka, zadbane zresztą, ściągają dziś przede wszystkim młodzież, dorośli przychodzą na ogół tylko po konsultacje pedagogiczne. Większe imprezy z konieczności organizuje się w gościnnej sali sportowej pobliskiej szkoły. Nie jest to mimo wszystko sceneria najlepsza, choć cieszy się serdecznym zainteresowaniem zarządu spółdzielni „Kolejarz”, albowiem zwalnia od troski o nowe inwestycje dla kultury. Cała ta dzielnica jest pozbawiona obiektów sportowych i kulturalnych z prawdziwego zdarzenia, „Motor” i „Kolejarz” cenia



Nowa Kalina

Fot. J. Trembecki

sobie prowizorki klubowe wygospodarowane z lokali mieszkalnych. Klub przy ul. Okrzei działa znakomicie, ale możliwości jego ekspansji są raz na zawsze ograniczone warunkami lokalowymi, nie mówiąc o specyficznym pojmowaniu działalności kulturalnej przez zarząd tej spółdzielni.

Na horyzoncie Lublina pojawiło się zagłębie węglowe; wielka rzecz gospodarza, sto problemów społecznych. Niewiarygodnie więc zabrzmi informacja, że w obrębie 25-tysięcznej (na razie!)

dzielnicy miasta nie planuje się żadnej poważniejszej inwestycji kulturalnej!

Opinia milicji: Na Kalinowszczyźnie przestępczość zmalała, ale chuligaństwo jest coraz poważniejszym problemem, którego my sami nie zlikwidujemy. Jedną z przyczyn tego zjawiska stanowi brak urządzeń sportowo-rekreacyjnych i kulturalnych.

Oglašam alarm dla Kalinowszczyzny!

Ireneusz J. Kamiński

nich u nas pozostanie. Szkolimy też kadrę we własnym zakresie: przez trzy dni są u nas, a przez trzy dni w szkole zasadniczej. W restauracji potrzebujemy przede wszystkim mężczyzn. Niestety, chociaż dobrze zarabiają, niekiedy więcej niż dyrektor, trudno dobrać odpowiednich ludzi.

— Ja oceniam kelnera czy kelnerkę następująco: praca bez skarg gości, bezwzględna uczciwość wobec zakładu i konsumenta, dyscyplina pracy, poziom obsługi, dokumentacja, praca społeczna, no i oczywiście — wysokość obrotów. Nie tylko dyrekcja ocenia pracowników, ale i aktyw społeczny. A aktyw mamy dobry...

— Pytacie, redaktorze, dlaczego cała władza skupia się w części gastronomicznej? Czy uważamy to za słuszną? W całym obiekcie pracuje 180 osób, a w samej gastronomii — ponad sto. Te liczby coś mówią. Ze kierownik gastronomii jest zarazem pierwszym sekretarzem naszej organizacji? Ale przecież dużego wyboru nie mamy! Przewodniczący rady zakładowej jest natomiast kelnerem i podlega kierownikowi. Ale do kolektywu należą też pracownicy administracji i salowe. To jest szeroki kolektyw!

— Ma pan, redaktorze rację. Z tym prawie pół miliona złotych za herbatę, którą szef kuchni miał z funduszu bhp wydać niektórym pracownikom, to prawda. Kiedy tam przychodziłem zawsze w kotle (!) widziałem herbatę. Oczywiście, niemożliwe żeby na taką sumę ludzie wypili. I to, co szef dopisał na te 495 tysięcy złotych, sparzył zaledwie sześć kilogramów herbaty. Pobrał więcej, no, może nie całą furę, jak pan mówi. Oświadczam panu, że nigdy bym go nie zmienił jako szefa kuchni, bo pracuje po szesnastu a nawet osiemnastu godzin na dobę. Godzin nadliczbowych nie bierze (te słowa szczególnie mnie wzruszają — T. J.). Jaką on zrobił reklamę naszej kuchni! Jeśli mamy opinię, że w „Unii” można dobrze zjeść, to przecież jego zasługa! Pytacie o trzeźwość... Hm... Każdy szef kuchni te 50 gram lubi sobie wypić. Ja mogę tylko stwierdzić, że pijakiem nie jest. No, może sobie raz na miesiąc solidnie popije. A z tą herbatą? Pan wraca do niej! Ludzie go objadają! On ma pensję trzy sto miesięcznie, dawno bym go awansował, ale ta sprawa w milicji i

prokuraturze przeszkadza. No, redaktorze, niech każdy zje codziennie choć dziesięć deko kielbasy. Przecież tego się nie upilnuje. Tyle osób w kuchni pracuje. On złodziejem nie jest, do samochodów dyrektorów też nie wynosił tobołów. To jest uczciwy człowiek i dobry fachowiec.

— Błędy ma przecież każdy. On na przykład popełnia taki, że cały dzień jest w kuchni, gotuje, a szefowie innych restauracji grzebią się w papierkach. Zeby go rozliczyć według asortymentów, a nie tylko według wartości, jak pan proponuje, na to by trzeba dziesiątek inspektorów na wiele miesięcy.

— Pyta pan, redaktorze, czy lubimy krytykę, czy ją kochamy? A kto kocha krytykę? Mamy jednak wśród naszego grona takich, którzy jeżdżili ze skargami nawet do Zjednoczenia, ale nadal przecież pracują, nie rozstaliśmy się z nimi. Pierwsza kara — to nigdy nie zwolnienie. Trzeba ludziom dawać szansę.

— Jak to było z tym zespołem bułgarsko-rumuńskim? Wiem, wiem, ten, który występował u nas w lokalu... Zamiast płacić Estradzie z trzydziestopięć procentowym narzutem, wolałem wylądować dla nich pokoje, zresztą źle wymalowane przez LPB. Stamtąd jeszcze pobierałem odszkodowanie. A w lokalu jest niemożliwie, aby pożywienie otrzymywali bez bonowania, prosto z kuchni! Uczestniczyłem tylko w ich bankiecie pożegnalnym. No, ale dyrektor czy kierownik powinien czasami wypić z gośćmi ten kieliszek, posiedzieć z nimi...

— W Warszawie śmieją się z nas. Sami — powiadają w dyrekcji — robicie sobie kłopot. Z tą herbatą też. Fakt, pozostało to i owo po pewnych przyjęciach, na przykład dla „Polfy” i Akademii Medycznej. Ale ujawniła to nasza kontrola wewnętrzna! Wszyscy byli oburzeni, bo przyjęło się przecież, że to, co z przyjęcia zostaje, można zjeść i wypić. Za moją zgodą kontroler sprawę zbadał. Ale też sprawę stawiam jasno: nasz kontroler wewnętrzny uwziął się na kierownika.

— Są u nas na pewno drobne niedociągnięcia, popełniamy pewne błędy, ale nie my sami! Tyle już było u nas komisji i kontroli i żadna niczego po-

ważniejszego nie wykryła. W najbliższym czasie zwołam naradę, przedstawię wyniki i powiem, że z rozrabianiem trzeba raz na zawsze skończyć.

Raz jeszcze rzucam okiem na korytarze hotelu, na salę restauracyjną, kawiarnię, cocktail-bar. Jak mało się wie, jeśli bliżej nie wejrzy się we współżycie międzyludzkie! Jakże tu prawda mija się z nieprawdą! Skąd można do końca wiedzieć, kto tu sprawiedliwy, a kto potrafi tylko pięknie mówić? Kto jest do końca uczciwy, a kto czerpie niedozwolone korzyści? Czy kolektyw jest sumieniem załogi, czy też tylko służy do robienia klaki dyrekcji? Dlaczego kontrola wewnętrzna wydaje się dyrekcji i części pracowników gastronomii tak uciążliwa, dlaczego jej wprost nienawidzą, skoro jakoby wszyscy dają jedynie do pełnego zadowolenia konsumentów i mieszkańców hotelu? Czy odchodzący mówią prawdę, czy tylko sięją pomówienia? Czy w uspołecznionym zakładzie pracy może uchodzić za moralne przywłaszczenie sobie jednej trzeciej zamówienia, a więc tego, co miało zjeść i wypić trzydzieści osób, które nie przyszły? I czy takie stanowisko powinni aprobować przedstawiciele warszawskiej dyrekcji? Czy z kolei nikt nie jest w stanie — mam na myśli organa ścigania — wyjaśnić owych (bagatela...) pięćset tysięcy złotych „herbacianych”?

Kontrolę, kontrolę, kontrolę... A może jedna, ale solidna? Złożona z fachowców wysokiej klasy? Niespodziewana! Czy nie należałoby wyciągnąć ostrzejszych wniosków wobec tych, którzy przy sporządzaniu remanentów okazali się, mówiąc delikatnie, niedokładni i tę niedokładność im udowodniono? Czy wyciąganie wniosków personalnych dopiero pod naciskiem z zewnątrz wobec szefa kuchni i jego zastępcy nie może powodować różnych domysłów? Czy tym, którzy byli krytycznie nastawieni, rzeczywiście musi grozić odejście? Jasne, po pewnym czasie, po nazbieraniu „podkładek”. Czy udzielanie kary jednemu za małe przewinienie, a nawet wypowiedanie

pracy (!) jest moralnie i prawnie usprawiedliwione, podczas gdy osobom wybrany nawet za duże uchybienie nic, oprócz nagród, nie „grozi”? (Bądźmy sprawiedliwi: czasem dla niepoznaki otrzymują po jednym upomnieniu!). Czy od stopnia służalczości muszą zależeć awanse, nagrody i przeszerogowania? A dlaczego to intratne wycieczki czy bankiety z zasady obsługuje pewna grupa? Łatwiej wówczas powiedzieć, że przedstawiciele tej grupy przynoszą większą kasę. Łatwiej, bo stwarza im się ku temu (i nie tylko ku temu) odpowiednie warunki.

„Unia” — znaczy jedność. Ale czy za wszelką cenę? Czy to jest placówka państwowa czy prywatny folwark? Czy jedynostka ma prawo gromadzić w swym ręku aż tyle władzy? Czy pewne funkcje (społeczne również) są wieczne?

„My śpimy, goście śpią, a hotel zarabia”, powiedział mi któryś z pracowników „Unii”. Czy więc wszystkie efekty są zasługą dyrekcji czy też... choć po części wynikają ze stałego braku miejsc w hotelach? Czy fluktuacja, tak wielka fluktuacja kadr jest rzeczywiście uzasadniona? Czy niektórzy spośród odchodzących muszą nabywać się nerwowych chorób i w stosunkowo młodym wieku odchodzić na rentę? Kto tu komu brat, swat czy bliski sąsiad? Czy rzeczywiście jeden dyrektor musi wyjechać do Szwecji, aby potem w natchnieniu utworzyć cocktail-bar, a drugi w NRD musi podglądać, jak zrobić podświetlenie nad parkietem do tańców?

I kiedy ludzie (przed jaką komisją?) zaczną wreszcie mówić pełną prawdę, nie bojąc się konsekwencji służbowych?

Wiem, że gdybym nie przeprowadził uprzednio dziesiątków rozmów w przeciągu sześciu tygodni, gdybym nie widział u władz odpowiednich dokumentów, moja rozmowa z dyrektorami miałaby zupełnie inny przebieg.

Nie ma mocnych? Ejże!

Tadeusz Jasiński

Kamena str. 5

Jerzy Krzysztof Misiec

przykuty do najwyższej
wieży twojego śpiwu
powtarzam litanie
do przedmiotów jakbym nie wiedział
co to jest krew

gwiazda
i serce

Andrzej Szerlak

O INWOKACJĘ

Ziemia spoza ziemi,
drzewa sponad drzew,
na kamieniu kamień
w brodzie snu.

Gdy zapalam świecę,
smoczek wypada z moich ust.
W krzyku rośnie desperacki chód
gwoździ,

które zbijają z ciała trumnę.

Aby ziemia spoza tej ziemi
przestala rosnać w powielanym
srebrem lustrza.

aby rozciąć cień
z krzyżem u szyi i nogami w gipsie,
abym przychodził do teatru
w pełni świadomy gry.

Jeszcze żyję,
abyś do mnie przyniosła
cztery złote pierścienie,
w których jest Twój sen.

To wszystko.

A PRZECIEŻ TAK DAWNO UMARŁEM

Jestem niewykorzystanym biletem,
który został podarty w kinie mojego
życia

Jestem złamaną nogą stolika,
przy którym grały w kości kobiety.

Ale nawet teraz, gdy coraz częściej
piszę w czasie przeszłym,
wciąż powtarzam sobie, że nic nie
straciłem.

Grażyna

Banaszkiewicz

Ja
skrawek twojej skóry
na czubku wskazującego palca
owinięty w prześcieradło
czernieję ci za paznokciem

Stanisław Feruga

MÓWIĘ DO CIEBIE

Mówię do ciebie
a ty zapalasz swoje świece
misternie rozłożone na stole
poprawiasz krzyż
pieszczotą czyszczony
mówię

a ty zapalasz
jakby gwiazda pierwsza już jaśniała
jakby słyszala nasz stukot za oknem
jakby wieczną wigilijną szykowała
dla nas

co to przybyć jeszcze mają
ja już jestem
dawno przybyłem
tak dawno
że spóźniłem
by ci świecę zapalić
by zająć miejsce
dla podróźnego który może nawiedzić
nasz dom

a ty zapalasz
w rogu pokoju śledzę
cisza
tylko błędzą po kątach
te nie zapalone ogniki
wypalonych świec

OBEJRZAWSZY niedawno fra-
pujący spektakl Mrozkowej
„Rzeźni” w warszawskim Te-
atrze Dramatycznym poczułam
skruczę, że dotąd nie opowiedziałam
mej reszlorocznej paryskiej wyprawy
na „Emigrantów”. Opieszałość zaiste
godna potępienia, bo przecie dopisało
mi w tym wypadku wyjątkowe szczę-
ście. Minęło zaledwie dwa miesiące od
ukazania się w naszym „Dialogu” tek-
stu rzeczy, a już 24 października, po-
pijając café nature przy stoliku prefe-
rowanego przeze mnie bistro, natrafi-
łam w „Figarze” na okazale zdjęcie z
następującym anonsem:

*Création, ce soir jeudi, au Petit Or-
say, de la nouvelle pièce de Mrozek
„Les Emigrés”, dans une mise en scène
de Roger Elin. Laurent Terzieff et
Gérard Darrieu sont les interprètes de
cette oeuvre. Autor — brzmi dalsza in-*

na platerku coś w rodzaju kasy. Po
okazaniu magicznej karty polecającej
dano mi za 15 frs miejsce w drugim
rzędzie. Sala nie duża, nie mała, taka
sobie, niepozorna. Pełno. Widzowie
trzymają okrycia, starannie złożone, na
kolanach. Jak w kinie. Z oszczędności,
czy żeby przyspieszyć powrót do do-
mu? Co do mnie, trzymam moje futer-
ko przy sobie z bezsensownego tchó-
rzostwa; a nuż wypuszczą innymi
drzwiami i nie trafię do szatni w tym
dziwnym budynku, pełnym zakam-
arków.

Kurtyny nie było. Zamiast trady-
cyjnego pudła widowia ma przed so-
bą wielki wystający owalem podest.
Na nim dekoracja i sprzęty zaprojek-
towane z drobnymi wariantami tak, jak
przewiduje autor w didaskaliach. Wi-
dzimy więc na tle szarych, brudnych
ścian pozbawionej okien sutereny, w

A treści „Emigrantów” wydała mi się
całkiem realistyczne — odpowiadające
w pełni konkretnym życiowym. Casus
bowiem XX jest typowym przypadkiem
robotnika, który wyrusza na obczyznę
by dorobić się i wrócić do kraju w
glorii dorobkiewicza. I XX wróciłby
niechybnie, gdyby nie te podarte pie-
niądze (sztuczny „unhappy” end po-
trzebny w związku z tezą AA). Po-
stać AA, ze swej strony, demon-
struje typowego intelektualistę, który
udał się na emigrację, rzekomo, by
swobodnie wymawiać wszystkie słowa,
zaczynające się na literę w, lecz dofi-
lozował się w końcu do emigracji ze
wszechświata. Takich superpesymi-
stów, mizantropów, w gruncie rzeczy
— nihilistów nie brak pod każdą szer-
okością geograficzną. Choroba epoki.
Miejmy nadzieję, że czas znajdzie an-
tybiotyki na nią, Summum tempus, gdyż

W PARYŻU BEZ MISJI [4]

KURTYNY NIE BYŁO...

Maria Bechezye-Rudnicka

formacja — zglębia szczególną psychi-
kę dwójga ludzi mieszkających poza
swym krajem: robotnika i inteligenta.

A więc na pomoc, nieodłączny przy-
jacielu, l'Officiel des spectacles! Bra-
wo, jest w niedzielę popołudniówka o
18.30. Teraz — jak tam z location? Oto
numer telefonu. Czym prędzej nakreć
siędem cyfr. Klęska: na drugim końcu
druku nie ma żywego człowieka, odpo-
wiada płyta z fatalną dykcją. Wyma-
mrotawszy parę razy swój bezduszny
tekst, wylacza się. A mówię do
mnie jeszcze, bestio jedna! Nic z tego,
przepadł drugi żeton. Pozostaje po pro-
stu przyjąć w sobotę do kasy na ja-
kieś pół godziny przed spektaklem.
„Po prostu” to znaczy przestudiować
możolnie trasę metra, a po przyjeździe
do teatru przeczytać może wywieszkę:
„Wszystkie bilety wyprzedane”.

Ale nie było tak źle. Wprawdzie wy-
chodząc z metra straciłam trochę orien-
tację. Tedy do kręcącego się w pobli-
żu policjanta:

— Pardon, monsieur, Théâtre d'Or-
say c'est dans quelle direction? A ten
do mnie: — Ecoutez, madame, proszę
zapytać mego kolegi, który tam oto

głębi — rury kanalizacyjne i żelazne
schody. Na lewo — kącik gospodarczy,
zasłonięty dodanym przez scenografa
wąskim przepierzeniem. Poza tym —
najbardziej funkcjonalne w akcji ele-
menty: dwa przeciwległe żelazne łóżka
przy bocznych ścianach, blisko proscen-
ium. Pośrodku niewielki stół. Nad nim
na drucie „gola” żarówka, uwydatnia-
jąca nędzę tego „intérieureu”, naturali-
stycznego według życzenia autora.

Patrząc na ów naturalizm trzeba się
jednak mieć na baczności, by w „kla-
syfikacji” sztuki nie zejść na manow-
ce.

Spełnienie intencji Mrozka jest, rzecz
można, w ręku pary aktorów. Nie ma
tu właściwie potrzeby szczególnych po-
mysłów inscenizacyjnych. Ta sztuka
słowem autorskim stoi. Ale na
czym polega trudność przekazania jej
treści zgodnie z jej fakturą?
Na tym chyba, że punkt wyjścia „Emi-
grantów”, ich sytuacja — jest całkiem
realistyczna, podteksty są wierne psy-
chologicznie (lub, powiedzmy, psycho-
patologicznie), natomiast dialog jest
surrealistyczny o tyle, o ile AA prze-

objawy jej obserwujemy już na począt-
ku stulecia. Ten niedoszły traktat
AA o idealnym niewolniku przywiódł
mi na pamięć pewien passus z drama-
tu Leonida Andrejewa (egzemplarz w
polskim przekładzie, krakowskie wy-
danie 1907 r. znalazłam na półce mego
księgozbioru). Mówi Sawa:

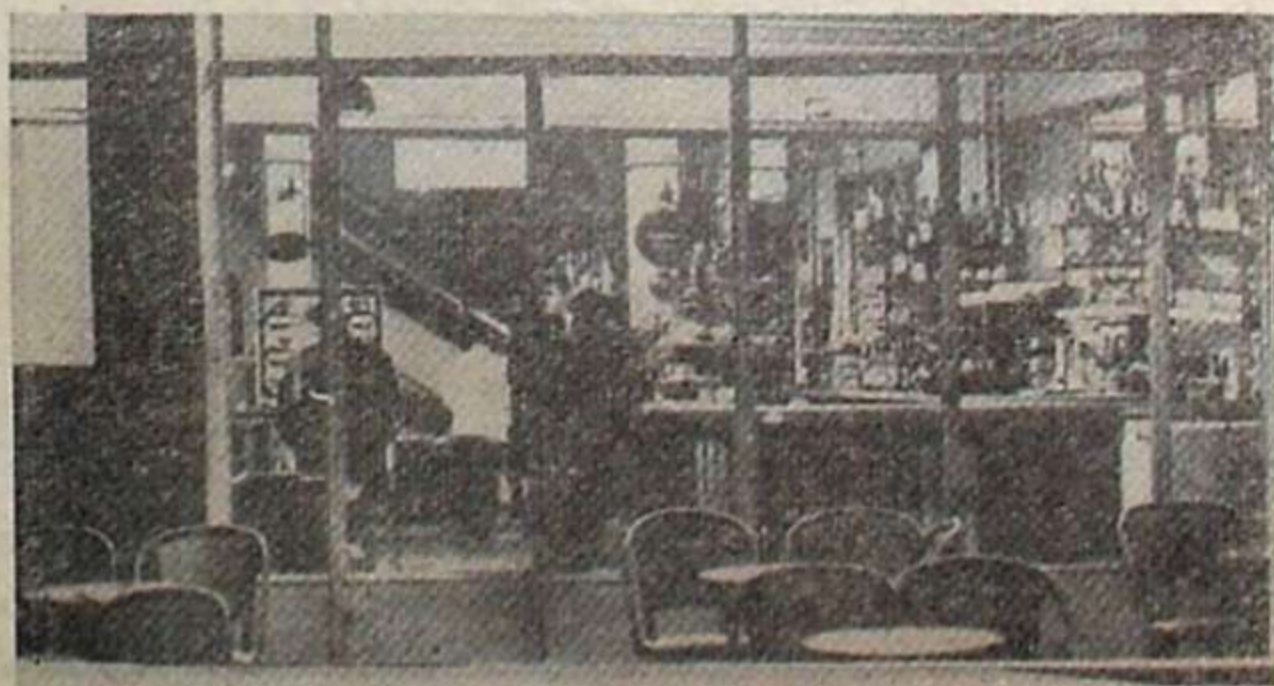
Przeszedłem dużo miast i krajów, a
nigdzie nie widziałem wolnego
człowieka! Niewolników tylko wi-
działem! Widziałem tylko klatki w któ-
rych oni mieszkają; łóżka, na których
się rodzą i umierają; widziałem ich
nienawiść i miłość, grzech i cnotę. I
zabawy ich widziałem — nędzne wy-
silkki wskrzeszenia umarłej wesołości.
A na wszystkim tym leży przybita pie-
częć ich głupoty i obojęt. Ten, co się
rozumnym urodził, głupieję wśród
nich; ten, co się urodził wesołym —
wiesza się ze smutku i pokazuje im
język. Wśród kwiatów na pięknej zie-
mi — ty nawet nie przeczuwasz, mni-
chu, jak piękna jest ta ziemia! —
urządzili sobie dom wariatów. A co
oni robią ze swymi dziećmi! Jeszcze
nie spotkałem pary rodziców, którzy by
nie zastużyli na karę śmierci; po pier-
wsze za to, że dali dzieciom życie; a
po drugie, że — urodziwszy — sami w
też samej chwili nie pomarli... A jak
oni lżą, jak lżą! Oni prawdy nie za-
bijają — nie, lecz co dzień ją biczą u-
ją, brukać swymi brudami jej twarz
czystą, ażeby już nikt nawet poznać
jej nie mógł, żeby ją znienawidzili
dzieci! — żeby już nigdzie nie znalazła
przytulku! I na całej ziemi, na całej
ziemi nie ma już miejsca dla prawdy!

I Sawa chciałby obrócić wniwec
całą cywilizację.

Po melancholijnym finale elekawego
spektaklu „Emigrantów”, w wykonaniu
produkcji artystów Compagnie Re-
naud-Barrault, pędziłam co tchu opu-
stoszała Avenue de l'Opéra, opustosza-
ła o godzinie 20-tej! (domatorzy z tych
Francuzów), aż dotarłam do bouche
de métro Pyramides, skąd dostałam się
bez przesładek na stację Gare de l'Est.
Odteńnęłam głęboko dopiero przy
herbacie (2 frs) w wspomnianym już
bistro na rogu mego rue de Chabrol. W
mansardce hoteliku Nord et Champag-
ne przygotowałam jeszcze przed snem
pytania, jakie zadam dyr. Kayatowi
w jego Centre d'Animation Culturelle
Malakoff. Zaplanowałam rozmowę o
sytuacji aktorów we Francji.

A o egzystencjalistach powiedziałam
sobie trawestując przewrotnie ty-
tuł Borisa Viana (p. „Kultura” war-
szawska nr 22): „Pluję na wasze teo-
rie!”.

Zasnęłam spokojnie bez myśli o
krachu cywilizacji. Może dlatego, że
będąc niepoprawną optymistką, zmi-
nimalizowałam swe niepokoje do wy-
miarów strachu przed ewentualnymi
paryskimi voyoux, których mogłam
napotkać w pustych niedzielnych wie-
czorami kulturalnych metra.



Typowe bistro paryskie.

się przechadza. Ce n'est pas mon quar-
tier.

— Nie twój quartier, to po co tu
sterczysz — pomyślałam sobie. Bez
złości, bo chłopak przeproszał uśmie-
chem, w ogóle był sympatyczny, nie-
zbyt „pan władza”.

Przeklete rewiry. A swoją drogą,
dlaczego ich tylu tu łązi? Ach, pozna-
ję: Chambre des Députés. No, jasne.
I w takim razie nie potrzebuję już
wskazówek; Théâtre d'Orsay znajduje
się całkiem blisko.

Staroświeckie to gmaszysko — z
niegdysiejszym wdziękiem. Odnajduję

mawia do XX językiem, jakim się w
rzeczywistości nie mówi do prymitywa
(wygląda to na uzewnętrznienie solilo-
quium filozoficznego oraz „strumienia
podświadomości” intelektualisty), z ko-
lei zaś prymityw XX zaczyna w pew-
nym momencie używać stylu intelligen-
ta, co odrealnia jego „wnętrze” z punk-
tu widzenia klasowego. Krótko mó-
wiąc, forma dialogu nowoczesna, coś
z klaunady.

Trzeba było tak tegich aktorów, jak
Laurent Terzieff i Gérard Darrieu, że-
by oddać te subtelne niuanse styli-
styczne nie zamącając treści.

LIKWIDACJA „ZAPORY”

Hubert Kępski

MINELA właśnie — 24 maja — 30 rocznica powstania Jednostki Wojsk Obrony Wewnętrznej im. Ziemi Lubelskiej (od 1 lipca 1965 r. — Jednostka Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Ziemi Lubelskiej). Z tej okazji warto przypomnieć jedną z najtrudniejszych operacji tej jednostki, a mianowicie likwidację zgrupowania „Zapory” w pierwszych latach walki o utrwalenie władzy ludowej na Lubelszczyźnie.

Określenie „zgrupowanie Zapory” przyjmując umownie, wydaje się bowiem, że w pierwotnym określeniu „banda” nie mieści się jego pełna działalność. „Zapora” bowiem — jego prawdziwe nazwisko: Hieronim Dekutowski — tylko w niektórych okresach był dowódcą jednego oddziału dywersyjnego, przeważnie zaś kierował kilkoma bojówkami nie tylko tzw. poakowskimi, ale także kolaborujących i faszystowskich Narodowych Sił Zbrojnych.

Hieronim Dekutowski walczył we wrześniu 1939 r. i w następnym roku w oddziałach polskich we Francji. Po upadku Francji znalazł się w Anglii, gdzie uczył się w szkole dywersyjnej do specjalnych zadań. We wrześniu 1943 r. jako podporucznik zostaje przetrzycony do kraju i dowodzi najpierw plutonem AK u „Kalinę” w pow. zamojskim, następnie dwoma kompaniami Kedywu w inspektoratach AK w powiatach lubelskim i pulawskim. I ta jego działalność należy w zasadzie do pozytywnych kart polskiego ruchu oporu.

Jednak z chwilą wyzwolenia kraju „Zapora” nie ujawnia się. Odwrotnie — występuje zbrojnie przeciwko władzy ludowej, podejmując akcje dywersyjną i sabotażową. Można w tej działalności odróżnić dwa okresy.

Pierwszy — od stycznia do początków sierpnia 1945 r. — charakteryzuje się przynależnością do tzw. konspiracyjnego AK. Jego zgrupowanie rozbudowuje się do około 220 ludzi, zorganizowanych w cztery kompanie: 1 — „Jagody” (około 80 ludzi, działa w pow. bełżyckim), 2 — „Juranda” (do 70 ludzi, działa w pow. janowskim), 3 — „Jerzego” (to już NSZ, do 40 ludzi, działa w pow. krańickim i bychawskim), 4 — „Rysia” (do 35 ludzi, działa w pow. lubelskim). „Zapora”, zresztą podobnie jak i w drugim okresie, w zasadzie koordynował działalność podległych sobie pododdziałów, a osobiście dowodził jednym lub kilkoma, jeśli — jak uważał — zachodziła tego potrzeba. Było to rezultatem zmieniającej się sytuacji politycznej w kraju, jak również działalności oddziałów wojskowych i służby bezpieczeństwa.

W okresie amnestii w 1945 r. zgrupowanie w części wychodzi z lasu i zdaje około stu sztuk broni. Do tego czasu ma ono na swoim koncie: 20 rozbrojonych posterunków MO, 9 potyczek z oddziałami Wojska Polskiego, Armii Radzieckiej, MO i SB, 27 rabunków w obiektach gospodarczych i urzędach państwowych, ograbienie miejscowości Huta Turobińska oraz zabicie około 50 ludzi.

Do połowy czerwca 1945 r. bojówki „Zapory” działają w grupach zwartych, unikając czołowych spotkań ze ścigającymi je oddziałami 3 Brygady Wojsk Wewnętrznych, Służby Bezpieczeństwa i Armii Radzieckiej. V. połowie czerwca główny ciężar walki ze zgrupowaniem przejmuje 3 Pomorska Dywizja Piechoty im. R. Traugutta.

Drugi okres dywersyjnej działalności zgrupowania „Zapory” trwa od listopada 1945 r. do września 1947 r. Wykonuje ono polecenia politycznego kierownictwa organizacji „Wolność i Niepodległość” Okręgu Lublin. W okresie największego rozwoju zgrupowania, latem 1946 r., „Zapora” kieruje bojówkami: „Cygana”, „Jadzinka”, „Lwa”, „Misia”, „Renka”, „Rusinka”, „Rysia”, „Samotnego”, „Szatana”, „Tarzana”, „Uskoka”, „Zbika” i 12-osobową bandą na koniach — razem 13 bojówek obejmujących około 180 ludzi. Jednak skład i stan osobowy nie były stałe, a właśnie od tego lata stale się zmniejszały. Uzbrojenie obejmowało 1 ckm, około 40 rkm i lkm, ponad 50 automatów i pistoletów maszynowych, około 50 kbk i kb, broń krótką i granaty. W sumie bandy te stanowiły dość poważną siłę bojową.

W tym drugim okresie bandy dokonały 31 napałów na posterunki MO, 14 na placówki ORMO, 9 napałów na transporty kolejowe, 71 rabunków

w placówkach gospodarczo-handlowych, spaliły 68 zabudowań gospodarczych, zdobyły ponad 100 sztuk broni. Zamordowały one lub ranily 126 funkcjonariuszy SB, MO, ORMO i członków PPR, 75 żołnierzy Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej oraz 80 innych osób.

Państwowy Komitet Bezpieczeństwa uznał wtedy województwo lubelskie za strefę najbardziej zagrożoną. W związku z tym wzmocniono siły MO i SB, a także skierowano do walki ze zbrojnym podziemiem jednostki wojskowe — 3 Pomorską DP, 5 pp, 42 pp i 14 DR. Ponadto wraz z lubelską jednostką KBW działają pododdziały jednostek KBW bydgoska, kielecka, mazowiecka i rzeszowska (od września 1945 r. do końca 1947 r. jednostki KBW nosiły nazwy Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego w województwie...). Jednak działania tych jednostek nie były koordynowane przez jedno dowództwo w województwie, co umożliwiała bandom unikanie wymierzonych w nie ciosów.

Dopiero z chwilą powstania Wojewódzkiego Komitetu Bezpieczeństwa (29 marca 1946 r.) opracowano wspólny plan. Przewidywał on w pierwszym etapie likwidację band UPA i „Orlika”, a w trzecim zniszczenie bandy WiN „Zapory” oraz zniszczenie najbardziej aktywnych obecnie band WiN, które przeprowadzają akty dywersyjne w centrum województwa i zagrażają bezpieczeństwu ważnych połączeń komunikacyjnych na Warszawę i Kraśnik...

Do operacji przeciwko zgrupowaniu „Zapory” użyto grup operacyjnych WBW Lublin i odwodu w sile 200 ludzi z 7 pułku piechoty i 5 pułku artylerii lekkiej 3 Pomorskiej Dywizji Piechoty. Wydzielone grupy operacyjne wyjeżdżały na akcje w miarę konkretnych danych o pobycie bojówki w określonym terenie. Z wielu akcji wymiennie dochodziły dwie. W dniach 15—17 maja 1946 r. 50-osobowa grupa operacyjna kompanii szkolnej WBW Lublin w rejonie Kraśnika ujęła 6 współpracowników „Zapory”, 5 osób podejrzanych o współpracę. 20 maja tego roku prowadzono akcję przeciwko bandzie „Rysia” we wsi Sporniak koło Konopnicy. W wyniku pościgu raniono 1 bandytę, a podczas rewizji we wsi znaleziono 4 kbk i 2 MP.

W drugiej połowie czerwca 1946 r. „Zapora” postanawia skoncentrować swoje oddziały w lesie koło Zawieprzyc. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego posiadał w tym informację, wobec czego zorganizowano operację z udziałem 10 samodzielnego batalionu operacyjnego WBW Lublin w sile 400 ludzi oraz grupy żołnierzy 7 pułku piechoty. Dochodzi do starcia z bojówkami „Renka”, „Jadzinka”, „Rysia” i „Uskoka”. Bandyci tracą 5 zabitych, zlikwidowany zostaje ich oddział konny, zdobyto 2 rkm, 2 PM, 4 PW, 11 koni i 15 rowerów. Zginął także 1 żołnierz, a 1 został ranny.

W wyniku tego bojówki uciekają w swoje rejon, sam „Zapora” zaś wraz z bojówkami „Renka”, „Jadzinka” i „Misia”, liczącymi już tylko około 40 ludzi, przechodzi San i chroni się w województwie rzeszowskim. Tamtejsze WBW wydziela 50-osobową grupę operacyjną do ścigania bandytów, którzy jednak unikają walki i bez większych strat „roztapiają się” w terenie. We wrześniu „Zapora”, ścigany przez 70 żołnierzy WBW Rzeszów, 19 funkcjonariuszy PUBP z Leżajska i 18 funkcjonariuszy MO z Mielca, wraz ze swoimi ludźmi ponownie przekracza San i chroni się w Lasach Janowskich. Oddział stracił jednak 2 zabitych i 2 rannych.

31 lipca rozpoczęto w woj. lubelskim 5 operacji przeciwko bojówkom podziemia. W powiatach lubelskim i krańickim wciąż działała 100-osobowa grupa operacyjna WBW Lublin, a na innych terenach działalności „Zapory” jeszcze dwie grupy po 50 ludzi każda, ponadto grupy operacyjne 7 pp i WBW Warszawa, stacjonujące w Opolu Lub. Kilkakrotnie dochodzi do styczności ogniowej. Np. po napadzie bandy na wieś Moniaki w dniu 24 września pościg grupy operacyjnej WBW Lublin dogania bojówkę we wsi Kępa i likwiduje 4 bandytów, reszta rozpieczęła się. Widząc ciężką dla siebie sytuację, „Zapora” przesuwa bojówki „Jadzinka” i „Samotnego” do powiatu zamojskiego, a „Misia” w rejon Janowa Lubelskiego.

Z początkiem października rozpoczęło nowe działania. Oddziały WBW Lublin i WBW Warszawa oraz wojsko stacjonujące w najbardziej zagrożonych rejonach, bądź też szybko zmieniają miejsca postoju. To poważnie dezorganizuje i ogranicza ruchy bojówek, które zmuszone są do przebywania w zakonspirowanych melinach. Oto dla przykładu wyjątek z pamiętnika „Drania”, członka bandy „Samotnego”, pisany w Pilatce w pow. biłgorajskim w niedzielę 3 listopada 1946 r.:

Okolo południa ruszyliśmy na Wierzchowiska, gdzie spodziewaliśmy się roboty, gdy Bezpieczeństwo nekato nas przeszedł noc wartoktem samochodów i strzałami. Nic nie znalazłszy w wiosce zdobyliśmy konie i ruszyliśmy na dalsze kwatery, lecz i tu resort nekato nas ogniem karabinów i erkaemów, chociaż zrobiliśmy okolo 20 km.

I drugi wyjątek, pisany w Kolonii Krzanowskiej dwa dni później:

Jeszcze dziś jesteśmy mokrzy. Bezpieczeństwo szuka nas, a w kolo slychać wartokt maszyn. Siedzimy na kwatery cicho i popijamy bimberek.

W rezultacie w okresie od referendum (30 czerwca 1946 r.) do wyborów do Sejmu Ustawodawczego (19 stycznia 1947 r.) zgrupowanie „Zapory” straciło 27 zabitych, 176 rannych, 108 aresztowanych i 225 podejrzanych o współpracę. Tak więc w wyniku ofiarnej działalności grup operacyjnych Wojska Polskiego oraz SB i MO aktywność zgrupowania została poważnie ograniczona.

Zwycięstwo bloku demokratycznego w wyborach do Sejmu zakończyło w zasadzie walkę o utrwalenie władzy ludowej w Polsce. Ale nie oznaczało to, niestety, zakończenia walki ze zbrojnym podziemiem, które mimo wszystko nie chciało rezygnować ze swoich celów. Dlatego też działania operacyjne przeciwko bandom trwały nadal, w tym przeciwko zgrupowaniu „Zapory”, prowadzone przez WBW Lublin. Uległy one nawet dalszemu nasileniu. Tylko w lutym 1947 r. zgrupowanie „Zapory” straciło 7 zabitych, 151 ujętych. Ponadto zatrzymano 84 jego współpracowników, 150 podejrzanych o przynależność do bojówek i 27 innych osób. Zdobytą również broń: 1 rkm, 21 kb, 7 PM, 17 PW, 2 sztuki innej broni, 16 granatów i 500 sztuk amunicji.

„Zapora” widząc, że traci grunt pod nogami, zarówno polityczny jak i ludzki, przysłał do dowództwa WBW Lublin łącznika z prośbą o przerwanie działań, aby w kolejnej amnestii mógł ujawnić swoje oddziały. Jednak ujawnianie szło opornie, ponieważ Okręg WiN Lublin prawie do ostatniego dnia obowiązywania amnestii (okres amnestii trwał od 22 lutego do 25 kwietnia 1947 r.) nie wydawał odpowiedniego rozkazu. W rękach Okręgu WiN zgrupowanie „Zapory” było obiektem przetargowym, gdyż WiN chciał uzyskać zwolnienie z więzień także osób, których amnestia nie obejmowała. Pragnąc uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi władze przychyliły się do propozycji rokoowań ze „sztabem Zapory” na zasadzie równości stron. Istotnie doszło do takich rozmów dwukrotnie w Bełżycach — raz w marcu, drugi raz w maju, mimo że wyznaczony przez ustawę o amnestii termin ujawnienia się już minął.

Według niepełnych danych w okresie amnestii ze zgrupowania ujawniło się 152 ludzi, w tym dowódcy „Wisła”, „Jadzinek”, „Samotny” i „Duch”. Sam „Zapora” deklarację amnestijną podpisał, ale mimo to pozostał w podziemiu. We wrześniu z dawnego zgrupowania pozostary tylko 3 grupki: 15 ludzi z bandy „Uskoka”, 4 z bandy „Rysia” i 5 pod dowództwem „Kędziorka”. Opuszczając Lubelszczyznę „Zapora”, nazywając siebie już „majorem”, przekazał dowództwo „Uskokowi”, uważającemu się za „kapitana”.

18 września tego roku władze bezpieczeństwa aresztowały inspektora inspektoratu WiN Lublin — „Stefana”, dowódcę band WiN w województwie lubelskim — „Zaporę”, jego adiutanta „Zawadę”, „Rysia”, „Zbika” i 3 innych. Pozostały jeszcze drobne grupki nie stanowiące żadnej zwartej siły, jakkolwiek trzeba było jeszcze z nimi walczyć — bandę „Uskoka” zlikwidowano do 1949 r., bandę „Żelaznego” w 1951 r., a „Kędziorka” dopiero w 1954 r.

Tak więc zakończyła się długa i krwawa walka z różnymi bandami zgrupowania „Zapory”. Reakcyjne podziemie przegrało zarówno politycznie jak i na polu walki. Zwycięstwo bloku demokratycznego w wyborach do Sejmu Ustawodawczego i amnestia — to jedno źródło ich klęski. Drugie to ofiarne działanie jednostek Wojska Polskiego, oddziałów KBW i organów bezpieczeństwa, wspieranych przez coraz większą część społeczeństwa.

Ale w walkach z bandami „Zapory” oraz z rąk jego podkomendnych zginęło około 400 osób. Pamięć o ich tragicznej śmierci w obronie nowej, socjalistycznej Polski trwa do dzisiaj.

NASZ SĄSIAD: SIEDLCE

Dokończenie ze str. 3

kim parkingu przed jej biurem jakiś chłop sprzedaje pietruszkę i cebulę. Naprzeciw sklep monopolowy z wielkim szyldem, w tyle — dwa osiedla o wdzięcznych nazwach Ogrody i Sady. Z istniejących tu kiedyś ogrodów i sadów nic poza nazwą nie pozostało. Natomiast sklep monopolowy przetrwał wszelkie zmiany i odwrotnie niż jego liczni klienci cieszy się znakomitym

zdrowiem, o czym świadczą wciąż wzrastające obroty.

Prezes spółdzielni, Piotr Mućko, powiada, że pięcioletni plan budownictwa mieszkaniowego wykonano już w końcu roku 1974. Pięknie. Ale zaraz potem okazuje się, że coś tam fatalnie zaplanowano — nikt się teraz do autorstwa nie chce przyznać — i w tym roku będzie oddanych do użytku tylko kilkanaście mieszkań w ramach patronatu ZMS. Gdy potem obejdziemy osiedla okazuje się, że wprawdzie w

roku ub. plan budownictwa wykonano z nadwyżką, ale siedem budynków zostało przekazanych do użytku bez tynków zewnętrznych. Mają być wykonane w tym roku, ale dotychczasowy postępek wskazuje, że może uda się zrobić połowę. Dbając o swoją żołąć, oszczędzają sobie wyrażenia opinii o architekturze większości budynków.

Tak mniej więcej wyglądają pluse i minusy stolicy nowego województwa siedleckiego. Nie ulega wątpliwości, że tych plusów jest znacznie więcej. Te-

raz chodzi przede wszystkim o to, aby możliwie najszybciej rozwiązać wszystkie sprawy reorganizacji, a potem, nie tracąc z dotychczasowego impetu, pomnażać plusy i jeszcze energiczniej niszczyć minusy. Szansa jest bowiem olbrzymia — i dla samych Siedlec i dla województwa, i dla całego kraju.

Jerzy Dostatni

P.S. A szansa jakoś upodobała sobie siedlczan. Nie tak dawno dwóch mieszkańców miasta wygrało w totolotka po milionie złotych!

SZKOŁA KAJ-a

Kazimierz Andrzej Jaworski

DO RODZINNEGO MIASTA

Matce mojej

Dziś dopiero sobie przypomniałem — no, pomyślcie, wszak to coś strasznego! Tyle wierszy już w życiu pisałem a o mieście swym ani jednego.

A więc biję się ze skrucą w piersi, bo naprawdę to jest wielka wina: tu mnie wszyscy oglądali pierwsi, kiedy jeszcze był małą dzieciną.

I te wszystkie żydowskie okienka, te cuchnące i brudne rynsztoki pamiętają, jak byłem małeńki i kroczkami były me kroki.

Tu był ojciec kochany lekarzem i mówiłem do niego: tatusiu. (Czarna płyta dzisiaj na cmentarzu: moje pierwsze twarde — tak być musi...)

Jakaż radość to była w niedzielę, gdy mnie ojciec do cyrku brał czasem...
O, trapezy, kłowni, karuzele!
O, orkiestro grzmiąca z hałasem!

Nieraz z matką szedłem do kościoła, gdzie naprawdę mieszkał Pan Bóg wtedy... (Dzisiaj wiem, że wszędzie na mnie wola, i w kościele bywam rzadko kiedy).

O, poezjo nabożeństw majowych!
Srebrny głosie kościelnego dzwonka!
(I nie przyszło mi wtedy do głowy: będę wolał kiedyś pieśń skowronka...)

Tu wyrosłem na dużego chłopca (jest gdzieś moja szkolna podobizna) tu dławiała wrogów mowa obca i bolało mnie słowo — Ojczyzna.

Przechodziło się z klasy do klasy, nawet brało się listy pochwalne. (Dobre były i niedobre czasy...
O, duszące mury gimnazjalne!)

O, dziecinne me indiańskie skalpy!
O, wigwamy gdzieś w dziewiczym borze!
(Dzisiaj kuszą mnie Tatry i Alpy, i błękitne, roześmiane morze).

Tutaj były te pierwsze uśmiechy i z dziewczęcych spojrzeń radość pusta, moje pierwsze, tak niewinne grzechy, gdy dowiedział się, po co są usta...

A za miastem jest cichy cmentarzyk, gdzie złożono przeraźliwsze kości, więc cokolwiek w mym życiu się zdarzy, tu zostanie część mojej miłości.

Tak. Tu pomnik mój nigdy nie stanie: nikt nie bywa w swym mieście prorokiem. Jednak wiem, że nawet w Hindustanie w stronę Chelma spojrzę łzawym okiem.

Wiersz powstał w latach dwudziestych, wszedł do zbiorku „Czerwonej i białej kochance”.

(Red.)

Kamena str. 8

Dokończenie ze str. 1

tworzą i podkrążonymi przesadnie oczyma wyglądał trochę po kabotyńsku. Nie miał wysokiego głosu, ale ta jego intonacja, ta mimika, ta charakterystyczna dla treści jego piosenek i ich melodii *zaunywnost'* — to wszystko miało swój własny, niepowtarzalny styl". KAJ dodaje, iż śpiewy Mieczysława Święcieckiego to, niestety, coś w zupełnie innym stylu. Osobiście uważam, iż Piotr Szczepanik robił to jeszcze gorzej, skąd już blisko wniosku o nieautentyczność mody „retro” w polskim wydaniu.

Kiedy Wertyński występował w Chelmie, K. A. Jaworski miał 26 lat, skończone studia uniwersyteckie w Lublinie i za sobą debiutancki tomik poetycki „Czerwonej i białej kochance”, wydany wprawdzie własnym sumptem (koszt 120 zł, co po reformie walutowej Grabskiego było kwotą sporą), lecz dość wysoko oceniony w „Wiadomościach Literackich” przez Stefana Napierskiego, który pisał: „W ogóle stosunek autora do rzeczywistości — zaduma nad oczywistością, przebijająca z najlepszych jego utworów — jest charakterystyczną postawą rzetelnego poety”.

Tomik liczył 43 wiersze, a nie jak dzisiejsze debiuty — kilkanaście. Zaś zwyczaj wydawania poezji nakładem autorów, szczególnie w przypadku pisarzy początkujących, był wtedy powszechny i nikomu się nie śniło, że na poezji można zarobić. „Jakże trudny był ówczesny start poetycki! — pisze KAJ. — Dzisiejsi młodzi poeci, którzy mają łatwość drukowania wierszy w różnych czasopiśmie, którzy odwiedzają wszelkie domy kultury, kluby i kawiarnie ze spotkaniami autorskimi, którzy organizują różne zjazdy i biorą udział w specjalnych turniejach poetyckich, którzy wreszcie na swe usługi mają wydawnictwa, *nieruchliwe* wprawdzie w produkcji, ale *sprawiedliwe*, ułatwiające adeptom poezji trudne początki — dzisiejsi młodzi poeci nie mają po prostu pojęcia, jak to wszystko wyglądało wtedy”.

Słowa te warto przypomnieć ze wszelkich miar, albowiem kiedy coś podobnego napisałem przed paroma laty w dyskusji o „pompowaniu pisarzy”, spotkałem się z powszechnym oburzeniem ze strony młodych twórców, z których niejeden liczył zresztą blisko czterdziestkę!

Tak więc KAJ, którego głównym zamiłowaniem przez całe życie była literatura — twórczość własna, przekłady z pisarzy słowiańskich i przebogata lektura (każdemu życzę tyle przeczytać w życiu) — musiał szukać zarobku poza piarstwem, choć może nie tak całkiem. W styczniu 1921 roku, jako „student drugiego kursu nauk humanistycznych, którego na uniwersytecie czekała jeszcze trzyletnia praca”, zaczął bowiem wykładać literaturę i gramatykę ojczystą w murach Męskiego Seminarium Nauczycielskiego w Chelmie.

Mury te, gdzie obecnie mieści się Zespół Szkół Zawodowych nr 4, od 20 czerwca br. nazwany imieniem Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, a więc mury te są nadszybczymi i staroświeckimi, co może akurat nie ułatwia tak całkiem życia dzisiejszym użytkownikom. Budowlę wzniesli reformatorzy w latach 1737—1738 jako klasztor, ufundowany przez Andrzeja Wolskiego, podsejdyka chełmskiego, i jego żonę, Mariannę z Radziwiłłowskich. W roku 1868 klasztor został ograbiony przez wojska carskie, a następnie przemieniony w przybytek prawosławnych mnichów. Potem była tu szkoła dla pańienek, raczej dobrze ułożonych i urodzonych, a od 1918 roku właśnie Seminarium Nauczycielskie, w 1937 roku przemianowane na Liceum Pedagogiczne. W czasie wojny kształciły się tutaj dzieci niemieckie, po wojnie zaś mieściło się znowu Liceum Pedagogiczne, a następnie Studium Nauczycielskie.

Te dzieje dosyć łzawo bilansował swego czasu „Kurier Lubelski”, ma-

jąc na uwadze rodzime tradycje pedagogiczne szkoły: „Używając pospolitej przenośni, można powiedzieć, że wychodzili stąd siewcy rozsiewający ziarno wiedzy o świecie i ludziach w umysłach, sercach młodzieży”. Niestety, życie jest brutalne, a gospodarka regionu ma swoje potrzeby, i w roku 1970 objęła w posiadanie cieżgodne mury, choć dotąd nie całkiem jeszcze, młodzież kształcona w tak pożytecznych zawodach, jak: przetwórstwo owoców i warzyw, kelnier, kucharz, piekarz, ciastkarz-cukiernik, przetwórstwo mleka, przetwórstwo mięsa, mechanik urządzeń kolejowych, zdobnik szkła, hutnik wyrobów szklanych, obuwnik...

W naszych demokratycznych czasach szkoła przeszła więc pewną ewolucję, choć — jak widać — nie oddała się od swych pedagogiczno-humanistycznych tradycji, przyjmując imię KAJ-a. Obecny dyrektor szkoły, Longin Jan Okoń, zrobił w tych murach po wojnie maturę (w liceum pedagogicznym) i choć z zawodu i praktyki pedagog, oddaje się też zajęciom literackim (z Chelma pochodzi zresztą więcej nauczycieli-literatów, starszych i młodszych, jakby nawiązujących do tradycji KAJ-a). W przypadku dyrektora Okonia literatura to nie tyle hobby, ile życie podzielone na dwie ważne sprawy — piarstwo własne i uczenie młodzieży. Jest on autorem kilku tomików poezji i prozy, redaktorem jednodniówki „Ziemia Chełmska”, której wyszło już trzynaście numerów. W ostatnim L.J. Okoń pisał: „Niedziela 19 listopada 1944 r. była dla mnie niezwykłym dniem. W sali liceum pedagogicznego w Chelmie, przy ulicy Dzierżyńskiego 13 (dawnej ul. Reformacka), uczestniczyłem w pierwszym po wojnie spotkaniu autorskim. K.A. Jaworski — pamiętam to doskonale — na wstępie mówił o tragedii polskiej książki w latach hitlerowskiej okupacji, o płonących bibliotekach i niszczeniu bezcennych pamiątek naszej literatury... Potem K.A. Jaworski czytał swoje utwory poetyckie, pisane przed wojną i w latach niemieckiego barbarzyństwa”.

KAJ uczył w tej szkole do wybuchu II wojny światowej, a i po wojnie parę lat. I chociaż ktoś mógłby mieć wątpliwość, czy należało w końcu tak diametralnie przekształcić placówkę, mającą tak ściśle określone tradycje kształcenia przyszłych nauczycieli, to akurat w tym przypadku zmiana nie wydaje się rażąca w kontekście faktów, o jakich wyżej była mowa. Można by tylko życzyć gronu nauczycielskiemu Zespołu Szkół Zawodowych nr 4, żeby rozwijało tyle inicjatyw pedagogicznych, ile patron szkoły, w dodatku przy tak rozbudowanych zainteresowaniach pozaszkolnych, jak to miało miejsce u KAJ-a.

Obok literatury bowiem serdeczną jego pasją były Tatry — może zresztą dzięki niej, gdyż owe turystyczno-tatrzańskie zamiłowania znamionują sposób bycia poety neoromantycznego. W latach 1923—1925 był współredaktorem efemerycznego „Reflektora”, pisma dość głośnego zresztą w swoim czasie, a ukazującego się w Lublinie. Podobnych pism wychodziło w tym samym okresie sporo, o czym trudno myśleć dzisiaj bez sympatii, aczkolwiek z lat przedwojennych ostała się tylko „Kamena” — jak wiadomo — założona przez KAJ-a w Chelmie w roku 1933 a po wojnie przeniesiona do Lublina. Tak więc do rozlicznych zainteresowań pisarskich KAJ-a doszła w pewnym momencie wydawanie i redagowanie regularnego pisma literackiego — na własny zresztą koszt naczelnego redaktora i bez honorariów autorskich, w stałym nakładzie 300 egzemplarzy.

Przypominam te znane czytelnikom naszego pisma sprawy, żeby na tym tle usytuować postać KAJ-a nauczyciela. Początkowo nie czuł się pedagogiem z powołania. W gorzkiej jakiejś chwili pisał do znajomej: „Dodaj do tych zeszytów powtarzające się najmniej raz na tydzień konferencje,



na których gędzi się w koło aby gadać, gadać i gadać. praca w szkole daje mi mało lenia”. Potem napisze jednak samo same lekcje. Interpunkty krótszych utworów czytanych się. Analiza tekstu. Dyskusje wale satysfakcje.

Ponadto wyżywał się w za młodzieżą, które dziś nazw fakultatywnymi. „W okresie wojennym bardzo było rozpniowane wydawanie piasek — napisze, po latach KAJ. — no wtedy trudności z papierem nakłady prasy i książek nie olbrzymie jak dzisiaj, a druk wincy nie kosztował zbyt w semka tego rodzaju, skromnie ważne grafomańskie, spełniając rolę wychowawczą; tutaj młodgla się wypowiedzieć na temat stosunku do szkoły, do przysocy zawodowej i obywatelskiej; swoje ideały życiowe i tak częj wyrabiać swe pióro”.

Tego rodzaju piasek wydłatach 1925—1929 seminarzysty pod opieką i „redakcją działną” KAJ-a. Nazywalo sro” i ogółem wyszło 7 zeszytów gównie jako „organ” Koła Litgo, które powstało przy szpracy tego Koła pisał KAJ w niku Urzędowym Kuratorium Szkolnego Lubelskiego” (r. 150). „Owszem, uzupełnienie prale w tym znaczeniu, by p literatów powojennych, który program jeszcze nie obejmuje, rch nazwiska objają się n krotnie o uszy uczniów... Tu trzeba aktualizacji, sztucznej galwanizowania, gdyż przez u autorów przemawia najwyszaczesność... Młodzież słyszy c wysięgu pracy, niech przeczytazjastyczną *Wesolą pieśń* o Rydzewaldzie. Rekrutuje się w mierze ze sfer włociańskich i nicznych, uczył ją Zeromski czciwieka, niechże więc zobaczy, szą dzieci chłopów i robotników dżący w skład społecznej grupy *drugi*”.

Widać odwieczna to bolączka gramów szkolnych — nienadająca literatura współczesna! Tak czy — „Pióro” i Koło Literackie s rzystów chełmskich dało okaz ujawnienia się talentu na pr Jana Szczawieja czy Wacława zowskiego, którego zresztą w „O lepsze jutro” był powodem k katy „Spójni”, jednodniówki m szkolnej, wydawanej z inicj członków Koła, sam zaś Mrosz podbudowany tym sukcesem, jako uczeń zadebiutował ton „Mosty nad życiem”. Pośród wychowanków wymienia KAJ nież Czesława Twardzika, popu go dziś chełmianina, czy — osob Wincentego Okonia, profesora pedagogicznych, albo też Witolda perskiego, który ostatnio wróc literatury.

Pisywali do swego profesora po ukończeniu seminarium, jesz podchorążówką, czy już potem

IV NAŁĘCZOWSKIE DIVERTIMENTO

Teresa Falger

W DNIACH 18-22 maja odbyło się kolejne IV Nałęczowskie Divertimento. Muzykowanie w Pałacu Malachowskich stało się już tradycją. Organizatorzy imprezy — Towarzystwo Przyjaciół Nałęczowa oraz dyrekcja Państwowej Filharmonii Lubelskiej — mogą być w pełni usatysfakcjonowani: mały nałęczowski festiwal sprawdził się. Wysoki poziom artystyczny koncertów, udział cenionych wykonawców, pełna frekwencja na wszystkich wieczorach muzycznych, autentyczny aplauz publiczności są tego wyraźnym dowodem. Dobra muzyka kształci, uszlachetnia i uzdrawia. Jest tym niezbędnym dobrem dla pełnego rozkwitu każdej osobowości. Łączy ludzi różnych ras i narodowości. W niej i poprzez nią wyrażamy siebie, swoje dążenia, marzenia, wzloty i upadki, radość istnienia i smutek. Jej frazy zamykają cały ogrom ludzkich doznań.

W programie tegorocznego festiwalu każdy z koncertów pomyślany został jako pewna jednolita pod względem tematycznym całość. I tak koncert inauguracyjny wypełniły dzieła fortepianowe epoki romantyzmu: Papillons Op. 2 R. Schumanna, Rapsodia Es-dur Op. 119 J. Brahmsa, Nokturny, Etiudy, Mazurki i Ballada g-moll Op. 23 Fr. Chopina. Wykonawcą wieczoru był Piotr Paleczny, wybitny pianista, laureat wielu międzynarodowych konkursów. Młody artysta wzbudził powszechny zachwyt i uznanie. W ostatnich latach jego ogromny talent jeszcze bardziej się rozwinął i okrzepł. Dziś Paleczny to muzyk pewny swych artystycznych dążeń, osobowość bogata i sugestywna, pianista o ogromnych możliwościach wirtuozowskich i wyrazowych. Jego interpretacja utworów Chopina wywołała gorącą owację publiczności. Niestychana świeżość frazy, wrażliwość na koloryt brzmienia fortepianu, wspaniała ekspresja — wszystko to składa się na tę niepowtarzalną kreację dzieł wielkiego Fryderyka. Tego wieczoru t.zw. słowo wiążące należało do Jerzego Jaroszewicza, cenionego teoretyka, krytyka muzycznego i pianisty.

Kolejne spotkanie muzyczne 19 maja poświęcone zostało lirycie romantycznej w jej najpiękniejszej i najpełniejszej postaci: pieśniom Fr. Schuberta, R. Schumanna, Fr. Chopina, St. Moniuszki, M. Karłowicza, J. Galla, poezji A. Puszkina A. Mickiewicza, J. Słowackiego. Wieczór prowadził z właściwym sobie taktem i delikatnością Zbigniew Pawlicki. Klimat tego wieczoru był wyjątkowy, a to co działo się na estradzie miało w sobie coś zjawiskowego. Śpiewał, a raczej czarował swym jedynym cudownym głosem Andrzej Hiolski. Każdy dźwięk, każda myśl, każde słowo zdawało się nieść treści nowe, nieznanne, porywające. Była to wędrowka w cudowną krainę wielkiej wyobraźni twórczej. Fortepian pod palcami Jerzego Gaczka stanowił piękne dopełnienie obrazu muzycznego. Recytacja

Katarzyny Laniewskiej pełna ekspresji a jednocześnie skromna w swej formie, była jeszcze jednym walorem tego wieczoru.

Na program trzeciego koncertu złożyły się utwory czołowych kompozytorów i dramaturgów hiszpańskich: H. Villi-Lobosa, J. Nin'a, J. Rodrigo, J. Gomeza, F. Guerrero, F. Obradorsa, Fr. Garcia Lorci i Loppe de Vegl. Wystąpili: Maria Fołtyń — wybitna śpiewaczka i reżyser operowy, Nina Andrycz — aktorka, Roman Ziemiański — gitara klasyczna, Jerzy Karolus — prelegent.

Koncert 21 maja, ciekawie prowadzony przez Janinę Berezowską, nosił tytuł „Malarstwo w muzyce”. Słoneczna pogoda, soczysta zieleń nałęczowskiego parku, stylowy wystrój sali koncertowej stanowiły znakomitą oprawę dla tej specyficznej muzyki, bajecznie kolorowej i rozmiętej. Inaczej przemówiły skrzypce i fortepian. Nowa estetyka i wyraz muzyki impresjonistycznej dały początek nowym środkom technicznym i brzmieniowym. Elementy techniki malarstwa przeniknęły do muzyki: mówi się o gamie barw, plamach brzmieniowych, kolorystyce dźwiękowej. „Obrazki z wystawy” Modesta Musorgskiego, Sonata g-moll na skrzypce i fortepian Cl. Debussy'ego, „Tzigane” M. Ravela same w sobie są już gwarancją doskonałej muzyki. Tu doszli jeszcze wybitnie utalentowani wykonawcy: Andrzej Ratusiński — pianista, laureat II Nagrody na XXV Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. F. Busoniego w Bolzano w 1973 r., Krzysztof Jakowicz — skrzypek, laureat międzynarodowych konkursów, Krystyna Borusińska — kameralistka i akompaniatorka.

Krzysztof Jakowicz to żywił! Fantastyczny, głęboko wrażliwy muzyk, który szczęśliwie realizuje swoje wizje twórcze za pomocą skrzypiec. Partnerująca mu Krystyna Borusińska jest w polskiej kameralistyce zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Jej czujność i zrozumienie spełnianej roli w każdej frazie, najdrobniejszym szczególe, są zachwycające.

Ostatnim akcentem IV Nałęczowskiego Divertimento był wieczór muzyczny — poetycki „Eugeniusz Oniegin w muzyce i poezji”. Zestawienie fragmentów poematu Puszkina ze scenami z opery Piotra Czajkowskiego było pomysłem ciekawym i w pełni udanym. Wystąpili: Zofia Kostrowska — sopran, Irena Słifska — alt, Jerzy Antepowicz — tenor, Jerzy Kulesza — baryton, Danuta Nagórna i Zenon Dondajewski — recytacje, Wojciech Ostojki — fortepian.

Miłym gestem ze strony organizatorów Festiwalu było uhonorowanie wszystkich jego uczestników medalami pamiątkowymi z okazji 175-lecia istnienia Uzdrowiska Nałęczów oraz IV Nałęczowskiego Divertimento.

„PORY ROKU” JÓZEFA HAYDNA

BIEŻĄCY sezon koncertowy w Państwowej Filharmonii Lubelskiej jest szczególnie atrakcyjny. Po serii znakomitych występów czołowych artystów radzieckich — Sławostawa Richtera, Orkiestry Kameralnej Barszaja, Andrieja Gawrilowa — oraz wybitnych Polaków — K. Danczowskiej i K. A. Kulki, interesujące i ujmujące w swej prostocie wystawienie „Wiosny” i „Lata” z Oratorium Haydna „Pory roku”.

Tego niezwykle odpowiedzialnego zadania podjęli się: Danuta Damińska — sopran, Bolesław Hamaluk — tenor, Adam Szybowski — baryton, Chór UMCS przygotowany przez Jadwigę Czerwińską i Mieczysława Pomorskiego oraz Orkiestra Państwowej Filharmonii pod dyrekcją Adama Natankę.

Lubelskie wykonanie dzieła wiedeńskiego klasyka 15 maja cechowała wierność intencjom kompozytora, szlachetność wyrazu muzycznego, delikatność i wdzięk. Cały zasób środków technicznych podporządkowany został

treści muzycznej i formie. Czysta muzyka, jej emocjonalność i siła oddziaływania były celem artystycznych dążeń wszystkich wykonawców. Liczył się tylko Haydn i jego dzieło.

Danuta Damińska, śpiewaczka o dużej kulturze wokalne i wrażliwości, wykonała swoją partię z urzekającą bezpretensjonalnością i szczerością. W jej śpiewie skupiło się całe ciepło i spokojna radość Haydnowskiej muzyki. Bolesław Hamaluk i Adam Szybowski wykazali się dużą muzykalnością i dobrymi warunkami głosowymi. Na wyrazy najwyższego uznania zasłużył Chór UMCS. Tak olbrzymiej pasji i potrzeby śpiewania, świeżości ekspresji, naturalności w realizacji tekstu muzycznego nie spotyka się zbyt często. Śpiew młodzieży to coś więcej niż zdrowe młode głosy i czysta intonacja, to autentyczne przeżywanie piękna. A to jest wspaniałe! Lubelscy Filharmonicy pod batutą Adama Natankę grali nadzwyczaj czujnie i stylowo. W sumie był to jeden z najpiękniejszych wieczorów Państwowej Filharmonii Lubelskiej.

progu nauczycielskiego startu, na długo „zarażeni” literaturą. Zdarzały się i takie listy: „O tak jak Kaden mieć! Przyjeżdża sobie do Lublina. Nocleg go nie kosztuje, jedzenie też, wszystko u wojewody, 500 zł za dwie godziny zarobi i wojewoda odwiezie cię, człowieku, autem do Zamościa. To, to literatura”. Zdarzały się inne — właśnie z wojska: „Wygłosiłem krótki referat dla mojej drużyny o Chełmie literackim, o Kamieniu i naszym Seniorze, i narybku. Wygłosiłem te piękne przekłady z rosyjskiego — List do matki, Spowiedź chuligana. Mówiłem, a myślałem tam, gdzie miasto gorącej młodości”. Pisywali i potem, po latach długich i dramatycznych, aby wreszcie spotkać się w maju 1961 roku ze swoim profesorem na miniaturowym zjeździe koleżeńskim. „Dziewięciu moich wychowanków, dziewięciu pełnowartościowych ludzi z mniej lub więcej znanymi nazwiskami” — powie o nich KAJ.

Pośród grona nauczycielskiego z sympatią wymienia KAJ Zenona Waśniewskiego, nauczyciela rysunków w chełmskim seminarium, współzałożyciela „Kamienia” i „naczelnego przez lata grafika pisma”, czy Aleksandra Wilczyńskiego, nauczyciela muzyki:


„Do dziś Kajetan Sosnowski, malarz abstrakcjonista, tak daleki przecież od sztuki uprawianej przez Zenona Waśniewskiego, wspomina swego nauczyciela z największą wdzięcznością, twierdząc, że mu ogromnie dużo zawdzięcza, tak samą jak wielu bardzo serdecznie się wyraża o nauczycielu muzyki, Aleksandrze Wilczyńskim, który na wysokim poziomie postawił chór i orkiestrę szkolną i miał w jej repertuarze nawet fragment którejś symfonii Beethovena, aż mu wizytator musiał zwrócić uwagę, aby obniżyć nieco loty i mierzył zamiar podług słu... — wszyscy w jakiś sposób dawaliśmy upust naszym zamilowaniom. Sama praca szkolna, lekcje, wykłady, ćwiczenia nam nie wystarczały”.

Witold Gombrowicz nie miał zbyt wysokiego mniemania o szkole jako instytucji w ogóle, w której dopatrywał się źródeł narodowego zidiocenia, nieautentyczności ludzkiej, upupienia literatury i tak dalej. Ostatecznie jest jednakowoż faktem, że nikt jeszcze nie lepszego nie wymyślił dla kształcenia młodzieży niż szkoła, ten mariaż nauczyciela i wychowanka. I jest może faktem drugim, iż zanim się zostaje nauczycielem, trzeba wprawdzie być pasjonatem jakiejś szlachetnej sprawy i tę swoją pasję chcieć zaszczerpić drugim, po prostu — nie bójmy się tego słowa — natchnąć młodych ową szczyptą bezinteresownego idealizmu, która tak bardzo potem przydaje się w życiu, pozwala bowiem na psychiczne relakse. A wreszcie może idzie tylko o to, żeby sama praca szkolna, lekcje, wykłady, ćwiczenia nie wystarczały nauczycielowi? Pewno jest — staroświecki — ale piszę o czasach, kiedy ludzie jeszcze wierzyli w literaturę. A zresztą to takie modne dzisiaj — być „retro”!

Maciej Podgórski

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆

STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆



CHEŁM Dworzec Kolejowy

Dziś w Klubie Starej Fotografii prezentujemy nadesłaną przez Andrzeja Piwowarczyka pocztówkę dworca kolejowego w Chełmie. Pocztówka ta została wydana ok. 1925 r. Dworzec, który oglądamy, uległ zniszczeniu w czasie ostatniej wojny. Na tym samym miejscu postawiono nowy.

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆

„TAEKWON - DO” W NATARCIU

Przemko Maria
Grafezyński

W CZERWCU 1974 r. powstała w Lublinie pierwsza sekcja „taekwon-do”, dyscypliny sportu, która w ostatnich latach w szybkim tempie podbiła ponad pięćdziesiąt państw na całym świecie.

Zeby wyjaśnić tak szybką ekspansję tego sportu na niemal cały świat, cofnąć się musimy o blisko 2000 lat i zająć historią Chin i Korei, ale najpierw spróbujmy wyjaśnić samą nazwę dyscypliny. „Tae” znaczy po koreańsku ręka, „kwon” — stopa, „do” — sztuka, a zatem „taekwon-do” to sztuka walki ręką i stopą, czyli sport zbliżony do znanej już w Polsce japońskiej walki karate, niewątpliwie jednak historycznie od niej starszy. Walka polega na zadawaniu ciosów przy pomocy stóp, kolan, łokci i otwartej dłoni lub pięści, a także na unikaniu wszystkich tych ciosów oraz ciosów innego typu, łącznie z zadawanymi bronią. Jednakże w sporcie tym nie zadaje się ciosów, lecz pozoruje się je, zatrzymując rękę lub nogę o 5 cm przed miejscem, które było celem uderzenia.

Na temat początków powstania walki ręką i stopą istnieje na Dalekim Wschodzie wiele legend, jednakże większość badaczy wiąże ten sposób walki z wczesną kulturą chińską. Najbardziej znana i przyjmowana za prawdę jest historia o słynnym mnichu buddyjskim Daruma Daesa, który w I w. n.e. przywędrował z Indii do Chin przez Himalaje, by tam nauczać mnichów chińskich buddyzmu. Zaprowadził on bardzo surową dyscyplinę psychiczną i fizyczną i szkolił swoich podopiecznych między innymi w sztuce walki ręką i stopą, której technika przypominała ruchy spotykane u zwierząt, np. nagłe uderzenie ptaka dziobem, skok tygrysa, błyskawiczny atak węża przez wyrzut całego ciała itd. Daruma Daesa do tego stopnia wyszkolił swoich uczniów, że w ówczesnych Chinach stali się oni mistrzami w walce wręcz.

Niektórzy, a szczególnie japońscy i koreańscy historycy, podają tę historię w wątpliwość. Jedni z nich twierdzą, że sztuka ta powstała na wyspach Okinawa, drudzy (między innymi uznany autorytet karate Masuatsu Oyama), że na południu Półwyspu Koreańskiego w królestwie Karak, od którego pochodzi japońska nazwa karate, jednakże najtrafniejsza i najbardziej ugodowa wydaje się ocena twórcy „taekwon-do” jako dyscypliny sportu, koreańskiego generała Choi Hong-Hi. Uważa on, że walka ręką i stopą nie powstała w żadnym konkretnym kraju, lecz wytworzyła się drogą naturalnego rozwoju na całym Dalekim Wschodzie w różnych miejscach i rozwinęła się w zależności od potrzeb tych, którzy ją praktykowali i chociaż nie jest dokładnie znany czas oraz miejsce jej powstania to jednak niezaprzeczalny jest fakt, iż od najdawniejszych czasów celem walki była samoobrona bez użycia broni i ona to właśnie walkę tę ukształtowała. Tezę generała Choi Hong-Hi potwierdzają nieliczne dokumenty historyczne o sztuce walki ręką i stopą, jakie udało się zgromadzić uczonej koreańskiej. Pierwsze z nich datują się na VI w.n.e., czyli pod koniec tzw. okresu Trzech Królestw, którego początek przypada w I w.p.n.e.

W 57 r. p.n.e. powstało ze zjednoczenia niewielkich państw południowych Półwyspu Koreańskiego królestwo Silla, które przetrwało do 935 r. i odegrało ogromną rolę w historii i tworzeniu się kultury koreańskiej, a także japońskiej. Utworzone nieco później na sąsiednich terenach królestwa Korugio (37 r. p.n.e.) i Pekdze (18 r. p.n.e.) prowadziły ze sobą ciągłe wojny, które poważnie osłabiły obydwu rywali. Królestwo Silla sprzymierzyło się z Chinami i unikając wojen, rozwijając jednocześnie rolnictwo, hodowlę, literaturę, sztukę, pismo, a także rzemiosło wojenne, które w późniejszych czasach odegrać miało poważną rolę, gdyż jak wiadomo z historii, w VII w.n.e. królestwo Silla przy silnym poparciu ze strony Chin podbiło obydwie skłócone państwa i po raz pierwszy zjednoczyło cały Półwysep Koreański.

W VI w.n.e. w czasie panowania dwudziestego czwartego króla Silla Chin Henszga młodzi arystokraci i rycerze założyli organizację wojskową, która szybko przekształcała się w wyborowy korpus oficerski zwany Hwa Rong-Do. Był to zgrany zespół wojowników, którzy oprócz normalnych ćwiczeń wojennych z włócznią, lukiem czy mieczem ćwiczyli także sztukę walki rękami i nogami. Celem tej walki oprócz samoobrony było zadanie przeciwnikowi śmiertelnego ciosu bez użycia broni. Zeby stwierdzić jak wysokie było morale wojowników Hwa Rong-Do, trzeba zapoznać się z ich pięciopunktowym kodeksem ustanowionym przez słynnego uczonego mnicha buddyjskiego Won Kōnga. Kodeks ten w dokładnym tłumaczeniu na polski brzmiał następująco:

1. Być lojalnym wobec króla.
2. Być posłusznym rodzicom.
3. Być honorowym w stosunku do przyjaciół.
4. Nigdy nie uciekać z pola bitwy.
5. Dokładnie uderzać.

Dzięki ciągłym ćwiczeniom karność fizycznej i umysłowej rycerze Hwa Rong-Do doszli do takiej perfekcji w walce, że zadziwiali nawet swych naj-

stały się po 1945 r. tak popularnym sportem na Półwyspie Koreańskim.

W 1955 roku specjalnie powołana komisja złożona z instruktorów oraz historyków ustaliła nową nazwę tego sportu — „taekwon-do”. Stwierdzono, że nazwa ta nie tylko dobrze oddaje sam sposób walki, ale odpowiada także duchowi narodowemu Koreańczyków. „Taekwon-do” rozpoczęto wykładać na wyższych uczelniach dwunastu krajów, a także włączono do obowiązującego programu szkoleniowego w wojsku, gdyż jak wykazały badania historyczne — „taekwon-do” była zawsze sztuką wojskową.

Piękny ten sport zdobył już sobie obywatelstwo w przeszło pięćdziesięciu krajach świata i uprawia go ponad dziesięć milionów ludzi. Wtargnął nawet do medycyny, w której przy pomocy ćwiczeń niektórych ruchów i technik „taekwon-do” z jednoczesną koordynacją oddechu i w połączeniu z odpowiednią rytmiczną muzyką, leczy się schorzenia kręgosłupa, głównie u dzieci. „Taekwon-do” uprawia się obecnie we wszystkich krajach Azji Wschodniej, w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i licznych krajach Europy — we Francji, Jugosławii, Angli, Szwecji, Szwajcarii, Holandii i innych.



Fot. Archiwum

większych wrogów, a wyczyny ich obrosły legendami. Od nich to najprawdopodobniej przejęli styl walki słynni samuraje japońscy. Równocześnie wśród podójstwa popularna była podobna walka bez broni zwana „Svo Bale”, która choć znacznie prymitywniejsza zyskała sobie dużą popularność i odbywały się nawet zawody w tej dyscyplinie podczas Świąt Dan-O (5-ego maja).

Kolejne dokumenty o walce ręką i stopą przytacza dr An Ja San, który stwierdził, że w czasie panowania dynastii Korio (918—1392), od której pochodzi dzisiejsza nazwa Korei, król Chosun organizował doroczne zawody walki bez broni na górze Ma Am. Walki te obejmowały uderzenia rękami i nogami, skoki, sposoby padania, przewracania oraz technikę podciągania na siebie przeciwnika i miały różne nazwy — „Sooabk-Gi”, „Taek Kyon” oraz „Yoo Sul” (obecnie Jujitsu). Jedną z tych dyscyplin, najbardziej zbliżoną do walki uprawianej przez Hwa Rong-Do — „Taek Kyon” — utrzymywała się przez dłuższy okres czasu, co potwierdza fakt, że trzeci król dynastii Li werbował do wojska ekspertów w zakresie tej sztuki walki na początku XV wieku.

Na nowo odżył „Taek Kyon” w pierwszej połowie naszego stulecia, gdy okupujący Koreę Japończycy wydali zakaz uprawiania walki i posiadania broni. Ćwiczenia konspiracyjnie przetrwały czterdziestoletnią okupację japońską i może właśnie dzięki temu

i koreańskiej terminologii walki. Uprawiający „taekwon-do” otrzymują stopnie zaawansowania, których jest 13 — 10 niższych zwanych „kup” i 3 wyższych zwanych podobnie jak w judo „danami”. Dzięki kombinacjom dawnych klasycznych technik stosowanych przez rycerzy Hwa Rong-Do i nowym metod opracowanych w przeważającej części przez generała Choi Hong-Hi walka „taekwon-do” nie ma, jak twierdzą specjaliści, równej sobie na świecie.

W ten sposób po około dwóch tysiącach lat, jeżeli uznamy historię o Darumie Deasie za prawdziwą, ukształtował się historycznie i rozprzestrzenił na cały świat narodowy sport Korei „taekwon-do”.

Gwoli ciekawości dodać należy, że w wielu krajach uprawia się także zbliżone do „taekwon-do” dyscypliny, polegające na używaniu własnego ciała do samoobrony, żadna z nich jednak, może z wyjątkiem karate, nie zdobyła sobie takiej popularności na świecie. Najpopularniejsze z tych dyscyplin to chińskie „koon-tao”, „chun-fuah” i „daeji-chen”, japońskie „kempo”, indyjski „selambam” oraz uprawiany w Malajzji „basilat”, w Tajlandii „kick boxing” (boks kopany) i we Francji „savate”. Chiński typ walki „chun-fuah” (czyt. kun-fu) znany jest ostatnio dzięki piosence amerykańskiego piosenkarza Carl Douglasa. Piosenka ta zyskała sobie rangę przeboju także i w Polsce.

O japońskiej odmianie walki ręką i stopą, karate, która ma w naszym kraju dość dużo zwolenników, prasa pisała już niejednokrotnie i przedstawiała ją, trzeba stwierdzić bez osłonek, nie zawsze w najlepszym świetle. Zagorzali przeciwnicy karate usiłowali wmówić czytelnikom, że to nie żaden sport tylko sztuka zabijania, brutalna walka, żeby nie powiedzieć wulgarnie i po prostu „bicie w mordę” lub „kopanie w genitalia”, bo były też i takie wypowiedzi. Tymczasem karate, jak i różniąc się od niej znacznie technikami walki „taekwon-do”, to sport czysty i z brutalnym biciem, jak to ma miejsce np. w boksie, nie ma nic wspólnego. W lubelskiej sekcji „taekwon-do” w przeciągu 11-tu miesięcy nie zanotowano ani jednego, choćby najdrobniejszego, wypadku uderzenia czy uszkodzenia ciała wśród ćwiczących.

Niezbyt przychylna opinia o karate wytworzyła się u nas głównie dzięki japońskim filmom z epoki samurajów, na których walka ukazywana była rzeczywiście w najbrutalniejszej formie. Trzeba jednak pamiętać, że w owych czasach karate służyło zupełnie innym celom, dziś natomiast jest to pokaz sportowych umiejętności — techniki, szybkości, sprawności, opanowania i precyzji.

„Taekwon-do” mieliśmy możliwość oglądać na filmie amerykańskim „Billy Jack”, gdzie walka ta przeciwko kilkunastu napastnikom, oczywiście w słusznej sprawie, demonstrowana była przez koreańskiego mistrza Song Soo Hana, który zaangażowany został jako dubler. Był to pokaz umiejętności precyzyjnego zadawania ciosów w niewrażliwe punkty anatomiczne, ciosów paraliżujących ruchy napastników, a jednocześnie nie powodujących trwałych uszkodzeń ciała, tylko eliminujących przeciwników na jakiś czas z walki.

Być może, że niedługo już będziemy mieli możliwość obejrzenia na żywo pokazów „taekwon-do”, gdyż zarząd lubelskiej sekcji przeprowadza obecnie pertraktacje w sprawie przyjazdu do Lublina generalnego sekretarza International Taekwon-do Federation, koreańskiego mistrza Park-Jong-Soo, który jest prawą ręką przewodniczącego federacji Choi Hong-Hi i legitymuje się stopniem 7-go dana.

Lubelskiej sekcji „taekwon-do”, która jest prekursorem narodowego sportu Korei w Polsce, życzymy pomyślnego realizowania swoich zamierzeń i celów.

W CZTERDZIESTYM pierwszym Hitler nie uszanował wiosny. I to jakiej! Rozwiołniona, rozjabłonięta w wszystkie dwadzieścia cztery sady przedmieścia. Rozkwitła jak Węgierka w czardaszu.

Wiosna tężała, a człowiek głodniał. Ale czy była w tym zazdrość? Było uznanie, że w GG można rozrastać się niezależnie do malejących przydziałów kartkowych. I wynikiem stał się poczuć jakiegoś wyrównania sprawiedliwości, wprawdzie w wymiarze niż przyrodniczym, skoro ludzki zawodził, ale i z tego było cokolwiek łżej. Bo widziało się, że nie zapominają o człowieku prawa przynajmniej odwieczne, jeśli w roku nie zabrakło wiosny, a w wiosnie tych kwitnień, tych bieli, tych zadrgań i poruszeń świeżo pączkującego powietrza.

Lecz właśnie w to wszystko wlały czarne krzyże na pancernych blachach, którym to znakiem pieczętowała się wszelka hitlerowska czerń pelzająca. Kompletna kompromitacja dla wodza, który jako malarz powinien się trochę znać na zasadzie łączenia kolorów. A i nie o same kolory chodziło. Wiśnie kwitły, a czołgi szczykały. Powietrze stawało się tycjanowskie, a ziemia eliotowska. Jałowa. Zdeptana butami maszerujących kolumn, wynaturzona pustką popranych żydowskich domów, oddająca dźwięk sucha i płytko.

Płytko i sucha — co było szczególnie do zauważenia na Pawiej, gdzie niedawno wyschły torfowiska jakby na dowód, że Neue Ordnung odmawia warunków życia nawet żabi. I właśnie ulica awansowała do rzędu tras wytyczających pochód wydarzeń w drugiej wojnie światowej. Błyskawicznie poszerzona i pokryta twardą nawierzchnią stała się arterią wypadową przeciw Związkowi Radzieckiemu. Nastąpiło skolidowanie swojskości topograficznej z aktem militarnym. Tak się to realizowało: na ZSRR — za piekarnią w lewo. Nach Bäckerei — links. I czołg idący na ukraińskie stepy ocierał się o węgiel domu ulicy Pawiej.

Wszelkie przepychane tamtędy żelastwo dopiero w nocy i z oddalenia nabierało tonu, grało podzwiekami wstającym ku górze jak pył leśzczyny, jak dudnienie roju. A samoloty. Świdrujące świadomość wrażenie, że ruszyły gwiazdy. Ruszyły gwiazdy, których dostojnością jest nieruchomość w obszarach wieczności, a tylko w postaci jednej z nich, tej spadającej, zademonstrować wspaniały triumf błędnego rzutu w pustkę. Gwiazdy, które się stały eskadrą. Co za nieporozumienie wiosennego nieba i jego roli w kulturze. Co na to Mozart? Co Bach? Ci, którzy spalili książki palą teraz wiosną, palą noc, nie wykluczone, że zechcą spalić porzeczeki.

W powietrzu było coś z dymu. Rozchodził się przesylny swąd i grał jakimś podobieństwem z pieczeniem chleba. Węch i smak zamieniły role; człowiek jadł nosem. No, satysfakcji dla organizmu w tym nie było, ale pod auspicjami wiosny, pory roku z natury rzeczy przynoszącej psychofizyczny renesans, nie wypadło być drobiazgowo analitycznym. Pokrzepienie przychodziło z dymem. Z nie wiadomo skąd wynikającym dymem.

(Może immanentnym? Może ekspansja militarna zaciągnęła za sobą powietrze z „Kritik der reiner Vernunft”? Całkiem możliwe. Nawet możliwe wte dy, kiedy Kanta się już nie czytało, a tylko działał pogłosem koniecznego w lekturze intelektualnego napięcia. Ale ten dym. Przecież najoczywistej jako zjawisko kojarzące się z beztreścią popiołu powinien kolidować z soczystością kwitnienia. Tymczasem nie kolidował. Puścić przy wionolenceli klekot starego krosna i nie wywołać dysonansu. Rzeczywistość ma takie sztuczki).

Tej wiosny Tadeusz poznał Irenę. Dopiero tej. Przedtem w domu ciotki kręciło się coś warkoczkowego i fartuszkowego, szptało jakieś pstre sekrety z Tadeusza cioteczną siostrą, ale to wszystko. Najpierw — słusznie — nie przewidywał, że z kurczenia w ogóle wyniknie problem, później — również słusznie — skonstatował, że przewidywania ludzkie mimo całej logiki nie zawsze odpowiadają rzeczywistości, która wobec tego nie jest logiczna. Dziewczyna wybuchła. Stała się w ciągu jednego czerwca. Tego właśnie.

I nie tylko stała się w ogóle, bo stała się w nim, w Tadeuszu.

Szastał, targal, szamotał się z sobą, bo najświęciej uważał, że przez to rozkwitnięcie dziewczyny, a więc fakt na świecie raczej nieoryginalny, nie powinno dochodzić do przeobrażeń w kategoriach trafnie wartościującego umysłu męskiego i wszelkie uleganie pokusom urody traktował jak ześlizg w obłęd biologicznego i estetycznego banału, ale zupełnie nie wiedział co zrobić z odcieniem oczu, szczególnie gdy rozbrzmiewała gitara w stroju ro-

syjskim. Co z czerwienią ust, naiwną i kolorystycznie niewyszukaną, ale przebijającą wyniesione z lektury kryteria wyższe. A już całkiem co — z oczami i ustami na raz, którym nie potrzeba było nawet rozjaśnionego rosa wieczoru, by triumfowały wiśniową świeżością młodości. Zakochał się? Przeróżająco proste. Nie zwracać uwagi? Uwaga zwracała się sama, więc wypadłoby ją odwracać, a to już jakaś postać zauważania, czyli działanie osiagające zamierzony skutek przeczyłoby intencji, w imię której zostało podjęte. Piekło i szatany! W dodatku wojna, wydarzenie w skali światowej, kontrast między losem ludzkości a falbankami niesamowity.

Mimo to zakochał się. Chyba się zakochał. Ukradkiem przed rozprawą Leibniza na temat logiki matematycznej, której obfita porcja leżała w postaci dobrze oprawnego tomu. Ale to „chyba” coraz wyraźniej zmieniało się w „na pewno”, choć całkowitej pewności, owej pewności Tadeusz mieć nie mógł, skoro fakt w jego życiu zdarzył się po raz pierwszy. Próbował przeciwdziałać, ale zwykle tonący wykonuje ruchy pograżające go w topiel. W końcu poczuł, że topiel mu odpowiada.

A skoro tak, to przyszedł granatowy krawat w dyskretne romby, przyszło prasowanie spodni, żeby

Ukraść Irenę

Zygmunt Mikulski

zachowały kant nadający smukłość sylwetce. Tadeusz nie był Rudolfem Valentino, ale cechami ogólnej aparycji mógł kompensować niedostatki wizażu, stąd wywar z „wiórków panamskich” i płyta żelazka jako ostry trening tekstyli mający go utrzymać w stosownej dyspozycji użycie znajdowały częste. Wszelako tylko w niedziele. Jeśli również w dni powszednie, to tak obliczone, żeby zawierały jakąś usprawiedliwiającą okazję. Inaczej mogło wyglądać, że Tadeusz specjalnie się sztafiruje, bo naprawdę nie ma się w co ubrać.

A właśnie taka była prawda. Dlatego krawat i wyprasowane spodnie miały czas użytku ściśle dostosowany do pobytu w Irka. Do przypuszczalnych z nią spotkań. Kamerdyner, który po wizycie gości z powrotem staje się koniuszym.

Tymczasem nie wiadomo skąd (pożyczony od sąsiadów?) w domu ciotki znalazł się gramofon. Z imponującą jak na czasy ogólnej reglamentacji ilością płyt. Tych właśnie najbardziej reprezentacyjnych dla towarzyskiego, emocjonalnego i rekreacyjnego kiczu. Kiczu? Tak to Tadeusz jeszcze w czasie lektury Leibniza ocenił, ale rychło przekonał się o niestabilności kryteriów estetycznych. Bo jeśli kicz, to dlaczego czuło się rzeczywistość bezwzględna, prawdziwa, nie budząca zastrzeżeń? Co za naiwność. Czy królewna przebrana dla zabawy w gęsiarkę traci coś z piękna, majestatu, a przede wszystkim praw do apanażu? Na odwrót. Kiczowate jest widzenie (tu: słyszenie), które poprzestaje na pozorach, czyli na tej pierwszej warstwie rzeczy, jeśli upodobnionej do ubóstwa, to już wystarczającej dla konwencjonalnej dezaprobaty. Precz! Lazuruwa grota na wyspie Capri, brak miłości w taką noc uznany za grzech i odgłos korsykańskiej serenady ze wstążką głosu Żabczyńskiego rozsypały się po wszystkich wieczorach owej tęczącej wiosny. A że wojna? Krażek płyty potrafił podobne obawy przynajmniej na czas obrotowego ruchu wcisnąć w ebonit. Zresztą w domu ciotki nie było oświetlenia elektrycznego, tylko naftowe, więc tę restrykcję z powodzeniem można było uznać za nakazany patriotycznym obowiązkiem tłumik na zajęciach rozrywkowych. Ponadto spel-

niła ona rolę jako element inscenizacji. Bardzo udany. Przez kontrast, jaki wytwarzała nisko sytuowana socjologia naftowej lampy nr 3 z high life'em, którego gloria wstawała z płyt. A dodajmy tegoż faktu aspekt scenograficzny: przewaga cienia nad światłem, a więc efekt jakże wysoko ceniony na późniejszych porankach poezji awangardowej przy zniczach i świecach.

Ale Tadeusz nie umiał tańczyć. Z początku nie umiał programowo, bo oprawny w sztywne okładki Leibniz czuł przeciw łatwym uciechom życia, później nie umiał choreograficznie, bo zwykle tango uważał za wyraz wtajemniczenia w misterium absolutnego rytmu. Dopiero za sprawą ciotecznej siostry stwierdził, że to nie więcej, niż stawianie kroków do taktu, a stwierdziwszy od razu poczuł natychmiastnie baletmistrza. Do tego stopnia, że reagował tanecznie nie tylko na przypadkowo przez kogoś nastawiony Beethovena „Marsz turecki”, który od bieddy można z partnerką odstukać w podłogę, ale nawet nie dawał za wygraną przy scherzo H-mol Chopina, bo i taka płyta wśród serc złamanych w girlandach rozkwitłych bżów się znajdowała. Więc kiedy Tadeusz nauczył się tańczyć, Irena jeszcze podrosła w skali uwielbienia. Jeszcze. Bo taniec z nią prowadził w te baśniowe obszary zapowiedziane tytułem czy librettem gramofonowej płyty.

Aż przyszła ta niedziela. Tadeusz jak zwykle oczekiwał wieczoru, który grupował cerce towarzyski przy gramofonie, gdy jeszcze wczesnym popołudniem od ciotecznej siostry otrzymał wiadomość, że Irena została ujęta w łapance na wywóz do Niemiec i znajduje się na Krochmalnej. Od razu dym kojarzony z pieczeniem chleba przeszedł w inny rejestr. Stał się powietrzem wojny. Nedoręczne okazało się to osławianie okupacyjnej rzeczywistości, podmalowanie jej rających konturów swojskim sztafżem obyczajowym. Rzeczywistość nie poznała się na proponowanym jej układzie: przemówiła. A przemówiła jak wzbogacona piekarszowa, która w trosce o powiększenie majątku czyni jeszcze do niedawna niepraktykowane skąpstwa. Młoda dziewczyna kariatydą hitlerowskiego zwycięstwa? Dłoń od rosyjskiej gitary w ekonomicznym programie III Rzeszy? Tadeusz zadawałby sobie te pytania, gdyby nie przyniatała go oczywista empiria nieszczęścia: nie ma Ireny! Więc nie wystarczy ta ilość czołgów, nie wystarczy wrzaskliwa agresywność marszowych orkiestr, nie wystarczy głód, Arbeitsamt, wszędzie słyszane „hände hoch”, jeszcze nie ma Ireny. O nie, panowie od niemieckiej polityki na Wschodzie, komend miejsca, wejść wzbudzonej, namiastek kawy i ubrań z pokrzyw. Będzie walka.

Łatwiej ją jednak wypowiedzieć, niż podjąć. Przydałoby się tak jednym zamachem znieść wszystkie niemieckie dywizje do Morza Bałtyckiego, Czarnego i Śródziemnego, w zależności od sytuacji geograficznej, ale tu niestety przyjdzie się potarścić o los jednej dziewczyny i to okaże się trudniejsze. Nie znaczy jednak, że zaniechane. Tadeusz usłyszał krótki gwizd parowozu na przelotkach niedalekiej stacji i to zakończyło debatę. Pobiegł do ciotki.

U ciotki konsternacja nie zmalala, ale nabrała wymiarów konkretnych. Martwiono się językiem realiów. Ze absolutnie nie można dopuścić do wywiezienia Ireny, że trzeba zrobić wszystko, by ją uwolnić, a ponieważ „wszystko” nie dotyczyło pliku „górali”, których nie było, czyli nie było potrzeby poszukiwania drogi dla łapówki, więc jako jedyna pozostała kradzież. Wykraść Irenę z Krochmalnej. Z obowiązku miał to wykonać brat Ireny, Sylwester, a na ochotnika, więc z powodu od obowiązku istotniejszego — Tadeusz. Nastąpiło więcej niż Reuseffieber: Vorstossfieber. Wprawdzie Makuszyński „o dwóch takich co ukradli księżyc” napisał w nastroju pogodnym, ale kradzież astronomiczna w przeciwieństwie do okupacyjnej nie jest karalna. Tu trzeba było wyjść z lazuruwej groty przeciw całej niemieckiej skrupulatności terroru. Wyjść tym dwóm. Tadeuszowi w dodatku — od „wiórków panamskich” i granatowego krawata w dyskretne romby.

Wyszli. To znaczy nie całkiem. Nie całkiem od „wiórków” i krawata, jeśli chodzi o Tadeusza, bo uznano, że wobec Niemców na Krochmalnej będzie należało zastosować pewien bluff już w stroju, Tadeusz więc poszedł odświętnie. Jakby złożyć gratulacje. Plan taktyczny opiewał: Tadeusz postara się zająć czymś Niemca choćby nie bez konfliktu, a Sylwester smyknie z Ireną przez furtek, po czym — bo główne wejście przypuszczalnie już będzie spalone — Tadeusz wysuwa się przez jakieś zaple-

Dokończenie na str. 12

GARMONDEM

W MAJU przebywał w Lublinie pewien znany z teatru i filmu aktor warszawski. Zaproszono go do Miejskiego Domu Kultury, gdzie miał pogawędzić z miłośnikami swego talentu. W tym samym czasie w salce widowiskowej MDK huczały kolumny jakiegoś popularnego zespołu bitowego. Więc miłośników było koło aktora mało, co ostatecznie zdarza się. Gorzej, że całe towarzysstwo — razem z bohaterem —

nie mogło znaleźć sobie miejsca w domu, było nie było, kultury. Bez żenady przepędzono je nawet z kawiarni — mimo że aktor należy do mężczyzn wyjątkowo przystojnych. Szwendali się więc ludzie z kąta w kąt, na dodatek — ze świecznikami w dłoni. W końcu gdzieś przycupnęli.

Morał: nie pchaj się do Miejskiego Domu Kultury, jeśli nie grasz na gitarze, lub na maszynach hazardowych, które szumią na parterze przybytku.

TG

W LIRYCZNYM szkicu o postaci i piarstwie Marii Dąbrowskiej („Polityka” nr 20) Władysława Terleckiego znalazło się przeciw zdanie kategoryczne: „Wątki polskie w europejskich dziejach literatury są zdumiewająco nikle. Cały właściwie nasz dziewiętnasty wiek znajduje się poza jej obrębem”. I otóż to jest nieprawda, szczególnie w odniesieniu do XIX wieku. Pomijając europejską sławę piarstwa Kochanowskiego i traktatu *De republica emendanda* Mo-

drzewskiego, trzeba przypomnieć, iż właśnie Romantyzm (wiek XIX!) wyniósł naszych pisarzy na forum Europy — Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid! Może też warto by pamiętać o dwu laureatach Nobla — Sienkiewicz i Reymoncie. Polecam książkę *Literatura polska w perspektywie światowej*, autorstwa R. Pollaka, Z. Libery, J. Krzyżanowskiego, H. Markiewicza i K. Wyki (Wrocław 1963).

pod

Kamena str. 11

cze czy ogrodzenie. Śmiałość warunkiem powodzenia.

Przyszli. Już nie z takim poczuciem pewności, z jakim wyszli, bo na tym obszarze zanurzenie w niebezpieczeństwo było znacznie większe, ale automatyzm postanowienia działał. Wszystko, co mogli dla siebie zrobić, to ukryć strzałkę psychologicznego manometru zwykłą na podziałce strachu. Co dziwnego. Z momentem rozpoczęcia akcji mobilizowali przeciw sobie cały aparat terrorku z Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy włącznie, jeśli by popoparli, szarobrazowy oddział Schutzdienstu nie wystarczył na dziesięciokrotne zlikwidowanie napadu.

Szkoła, w której został zatrzymany plon lapanki, była otoczona siatką. Furtka otwarta. Pułapka to, niedopatrznie, czy akt łaski pozwalający na ostatnie widzenie się z rodzinami? Dylemat ściśle teoretyczny. Bo że otwarta, oszczędza fofsowania już na wstępie, a wejść i tak trzeba.

Weszli. Trochę pod osłoną lamentujących bab, mimo całego załamania nie tracących zaangażowania w ubogą dystrybucję prowizyjną. Tadeusz przez otwarte drzwi jednej z sal ujrzał Irenę. Jakże po swojemu wiosenną. Jakby się wybierała potać się. Szybko te drzwi minął, umykając również przed nią. Wszedł do komendanta. Im prędzej go zablokuje, tym łatwiej Sylwek wymknie się z Irką.

Niemca nie było. Tadeusz już wychodził z drzwi komendanckiego Zimmer, kiedy tamten pojawił się wychodząc z za rogu korytarza. Również zaskoczony. Stał. Moment napięcia, który traci wymiar czasu. Walka na wytrzymałość bez ruchu. Jeden — władca miejsca, na którym rozgrywa się scena, drugi — wyostrzony zamiarem ciosu ukradkowym i groźnym. Niemiec prawie nie naruszając bez ruchu wyciąga pistolet. Ale jest w tym coś nie kategorycznego, co Tadeuszowi podsuwa myśl, że tamten nie strzeli. Przede wszystkim wśród zatrzymanych nie widać masowego poruszenia. Nawet chyba nie zauważyli. W tych warunkach rzecz może dotyczyć poszczególnego wypadku, o który Niemiec nie będzie ryzykował ani wyraźnego konfliktu z podziemiem, ani ambarasu ze swoimi władzami. Brak strzału może wszystko zatuszować. Tym bardziej, że ujęci jeszcze nie są zewidencjonowani i ubytek jednej dzierlatki nie wywoła alarmu.

Tadeusz wie, że Niemiec ten rachunek przeprowadza i raczej nie uczyni użytku z lufy, która jeszcze nie osiągnęła pozycji poziomej, ale na wszelki wypadek bluffuje dalej. Prawą ręką ma w kieszeni marynarki. Właśnie marynarki, by tym wyraźniej było widać. Tam też scyzoryk. W jeszcze większym stopniu zachowując zdecydowanie bez ruchu napina kieszki. Żądło kieszeni klucze Niemca. W wymowie gestu jest to ostrzegawcze „no”, które właściwie nie jest już potrzebne, bo Niemiec daje za wygraną. Chce tylko gwarancji remisu. Na tych warunkach, że niech sobie ten ktoś ostatecznie zmyka, ale też niech się skończy ta scena nie wykraczając poza ramy bilateralnej „dżentelmeńskiej” umowy. Tade-

usz jest już okiem za siatką ogrodzenia, przez furtkę którego widzi przesuwających się Irenę i Sylwestra, więc tym skwapliwiej warunek akceptuje. Nie chce wracać przez korytarz. Słoneczne światło i tchnienie powietrza wskazuje na obecność bliższego wyjścia i Tadeusz z niego korzysta. Podnosi z lekka dłoń co ma oznaczać „kwita”, a także powstrzymać Niemca przed próbą alarmu, po czym przeskakuje przez płot całkiem łatwo, ponieważ poblizze kuchni i magazynu zawsze obfituje w potrzebną do tego konfigurację skrzynek. Jeszcze słyszy za sobą miedlonny w ustach „take lajdaky”, jakby w proteście przeciw bezceremonialności form

Ukarać Irenę

towarzyskich wyrażającej się w neglegowaniu drzwi wyjściowych. Kilka krętych uliczek zasypuje miążgą nędzną urbanistyką gęstą niebezpieczeństwa.

Ale błędem byłaby najkrótsza droga. Na trasę powrotu należy nawlec kilka przedmieść. Bezpieczeństwo, czyli Sicherheit. I Tadeusz nakluczywszy ponad normę konspiracyjną wrócił do domu. Ciotki.

Właściwie jeszcze przyszedł za wcześnie. Ale za wcześnie był również Sylwester. Już był. Trochę nieopatrznie, bo on jako brat Ireny był w bliższym zasięgu Niemców, ale skoro jest...

— Sylwek, nie czas na laury. To dopiero pierwszy krok. Gdzie Irka? Trzeba ją gdzieś ukryć.

Upiękniała długa chwila, w ciągu której wzrok Sylwestra tkwił między pelargoniami na oknie.

— Na Krochmalnej.

— Co?

— Na Krochmalnej.

— Przecież widziałem jak wyszliście!

Sylwester nie patrzył na Tadeusza.

— Co się stało? Mów coś!

Sylwester dalej nie patrzył na Tadeusza.

— Jeśli chodzi o mnie, skasowałbym wszystkie szminki, pudry i perfumy, przynajmniej na czas okupacji. I tak są w złym gatunku.

— Zdaje się, że nie pytałem o kosmetyki.

— Przyszły niepytane.

— Słuchaj!

— Może raczej posłuchaj ty. Zastopowałeś Niemca. Wtedy złapałem Irenę. Wyszliśmy. To widziałeś. Nie widziałeś jednak, że Irka tuż po minięciu furtki wróciła po zapomnianą torebkę. Nie przewidziała, że te dziesięć sekund przesądzi sprawę. Krucza do Krochmalnej znajduje się pod kątem prostym. Nie widać. Z Kruczej wyszedł oddział Bahnschutzów. Wtedy już było za późno. Irka została. Z torebką.

Przeniósł wzrok z luki między doniczkami.

— Co tak patrzysz? Co najwyższe mógłbym zostać jako drugi. Wielki sukces. — Wysunął z kieszeni rękojeść pistoletu. — Będę próbował przy załadunku transportu. Dowiedziałem się, że nastąpi o dziewiątej, już po godzinie policyjnej. Wyjdę przed dziewiątą.

— Masz jakiś plan?

— Nie mam.

Dobre sobie. O braku planu mówi jak o połowie sukcesu. Iść na całego? Dwa razy pukać po to, by wywołać serię? W dodatku pod jakim adresem! Ale jeśli nie, to co? Panowie będą łaskawi spojrzeć na specjalnie dziś atrakcyjny księżyc? Ansehen Sie der Mond? I Tadeusz stwierdził, że też nie ma planu.

Psiakrew. Taki zbieg okoliczności na marne przez jedną torebkę. Tyle może zepsuć worek na fatalaszki.

— Przyjdź po mnie.

Tadeusz idzie do domu. Wolałby na jakieś Gestapo z wiązką imieninowych granatów. Na wszystkie Gendarmerieposten, na siedzibę SS und Polizeiführer. Na całą Hitlerbande.

Zmęczenie. Właściwie psychiczna beztreść. Nic nie ma wyrazu. Nic koloru. Sensu.

W domu Tadeusz kładzie się na otomanie. Dobrze, że nie ma młodszych braci, a matka zajęta kuchnią. Czas kręci się jak mucha na szybie. W końcu półmrok zaczyna wsiąkać w kąty pokoju. Ciche kroki od werandy. „Dobrze, już idę”.

— Tadek...

To nie Sylwester. Cioteczna siostra.

— Chodź, jest Irka.

Eksplodują światła w Tadeuszu. Co? Gdzie? Jak?

— Jest Irka. Sama uciekła.

I kiedy Tadeusz pod wpływem dezorientacji zaczyna niezbornie się zbierać, słyszy jeszcze, że w zardzewiałej siatce jest dziura przestonięta krzakami porzeczek. A teraz mają iść do ciotki, ale Irki, po drugiej stronie szosy. Tylko uważnie, bo tam ciągle jeszcze te czolgi, a już jest po godzinie policyjnej.

O żadnych czolągach Tadeusz nie chce słyszeć. Jest księżyc, jest zapach, jest wieczór prześwietlony bielą kwitnących wiśni. A jeśli go teraz oddzielają od Ireny, tym gorzej dla czolągów. I w ogóle niech się strzegą gitary o stroju rosyjskim.

Zygmunt Mikulski

Okolice sztuki

„Nieznany”

W POŻARZE własnego domu zginęła Barbara Hepworth, wybitna rzeźbiarka angielska. Dom płonął w ogrodzie, z którego wyrastały rzeźby: abstrakcyjne lub aluzyjne o powierzchniach wypieszczonych ludzką dłonią. Traktowała swoją robotę jak stolarz, stary fachowiec, który zabiera się do wykonania stołu. Najpierw poznawała naturę tworzywa, sama np. wyszukiwała egzotyczne gatunki drewna, a potem, po nawiązaniu z materia owego szczególnego kontaktu, o którym mogą mówić tylko rzeźbiarze, nadawała materiał kształt jakby przez nią oczekiwany.

Zginęła jako stara kobieta licząca 73 lata, szanowana do końca przez środowiska artystyczne. Jej nazwisko trafiło do encyklopedii i książek o sztuce nowoczesnej obok nazwiska Henry Moore'a, ten duet określał w połowie lat pięćdziesiątych, może i nawet później, najlepsze wartości plastyki angiel-

skiej i europejskiej, które do dziś nie wyblakły w świetle nowych i jakże odmiennych zjawisk artystycznych. Łącząc monumentalne dzieła z architekturą i pejzażem, wykorzystując przestrzeń jako integralny element kompozycji.

Hepworth i Moore trafili w najważniejszą sprawę swojego czasu. Niewykluczone, że ówczesna rzeźba miała pewien wpływ na opuszczenie przez malarzy prostokątnej powierzchni obrazu, która zmuszała ich do stwarzania iluzji kogoś czy czegoś, np. trzeciego wymiaru. Oni natomiast chcieli kreować rzeczywistość autonomiczną, niezależną rzeczywistość sztuki. Obraz miał być przedmiotem, a więc nie-obrazem. Pod takim hasłem lepiono z żużla i cegieł przestrzenne struktury, dziurawiono i niczym worki zszywano płótna malarskie, a efektem takiego działania były prace na polu rzeźbiarskim. Źródła tej sytuacji były oczywiście bardziej złożone, niemniej faktem pozostaje wysoka i inspirująca pozycja ówczesnej rzeźby, której najlepsze dokonania sygnowały m.in. nazwiska Barbary Hepworth i Henry Moore'a.

Następcy angielskich artystów oraz Brancusiego, Arpa i Nauma Gabo okazali się bardzo ruchliwi jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych, realizując na polskim gruncie tzw. kompozycje przestrzenne, którymi pokryli m.in. ulicę Elbląga. Wartość tych pokaźnych rozmiarów prac okazała się — poza doprawdy nielicznymi wyjątkami — tylko ornamentalna. Taki przecież kierunek dominował w rzeźbie tego okresu, przynajmniej był na tapecie, a jego animatorzy z ironicznym uśmiechem traktowali inne przejawy kreacji rzeźbiarskiej, wypływającej z autorskiego pragnienia komentowania rzeczywistości humanistycznej. Ci „od główek” byli zresztą jakby podejrzani o przynależność do obskurantkich sił, które podobno szykowały się do ostatecznej rozprawy z tak zwaną, czyli wąsko pojmowaną, sztuką nowoczesną.

Upiękniała kilka lat i okazuje się, że właśnie linia „komentatorów” wydała znakomite, acz okrutne w swej treści fakty artystyczne. Są to rzeźby młodego pokolenia, wykonywane najczęściej w gipsie i drewnie, a więc w tworzywie niejako tradycyjnym. Wydaje się, że era aluminium i innych metali odchodzi w przeszłość — razem z biedniacką fascynacją siłami i bogactwem współczesnej techniki.



Adam Myjak: Nieznany

Jednym z tych, którzy ośmielili się zarzucić dostojnym klasykom, że ci „starczy” nie widzą dokoła — mimo uzbrowienia w szkiełko i oko — jest Adam Myjak.

Jego gipsowe i patynowane rzeźby głów męskich są właściwie portretem

czasu: fizycznego, który zamienił twarz „Starego aktora” w sponiewierany ciągłą zmianą tożsamości pejzaż wspomnień, oraz historycznego, flankującego określony sytuację zbiorowości ludzkiej, który na czole „Nieznanego” wrył głęboko swój znak wyróżniający: NN.

Te głowy mają zatarte i zdeformowane oblicza: ustom wargi skrojono, oczy wtłoczono w głąb czaszki, brutalnym pociągnięciem splantowano twarze. W twórczości Adama Myjaka okazjonalne kwilenie młodego malarstwa przechodzi w autentyczny skowyt. To przecież znamienne, że ten sam wątek, że ta sama sprawa brutalnego zatarcia osobowości ludzkiej pojawia się w obrazach, rzeźbach i grafikach wstępującego pokolenia. Widać ją również w młodej poezji, co świadczy o rozmiarach zjawiska. Motyw ludzkiego piekła pojawia się w naszej sztuce przynajmniej od czasów romantyzmu. Zawsze dotąd ujmowano go jednak metaforycznie czy symbolicznie, tym samym neutralizując nieco problem w gąszczu chwytów formalnych, nierzadko wielce ozdobnych. Podobny skutek przynosiło wmanewrowanie piekła w rejony psychologii.

Dzisiaj psychologię zastąpiono fizjologią, a gest symboliczny uderzeniem poniżej pasa. Literary NN na czole rzeźby Adama Myjaka, owszem, oznacza ją, ale również i to, że zostały wyciosane siekierą. Stąd to się wzięło?

Z życia, proszę państwa. Podobnie, jak harmonijne rzeźby Barbary Hepworth, żyjące w zgodzie i dla otoczenia, które nie tak bardzo jeszcze wątpilo w ustalony system wartości. Tragizm, losowy przypadek odebrał życie artystce. W 1975 roku mogła przecież zginąć od wybuchu bomby, podłożonej w jej ogródku przez terrorystów. I byłby to przypadek całkiem zwyczajny, codzienny, mieszający się w naturalnym porządku społecznej rzeczy.

LJK

		1	2	3	4	5	6		7	8		9	10	11	12
13	14	15		16	17	18	19	20		21		22	23	24	25
26	27	28	29		30	31	32	33	34	35	36		37	38	39
40	41	42	43		44	45		46	47	48	49	50	51	52	53
54		55		56	57	58	59	60	61	62		63	64	65	66
67		68		69	70	71	72	73	74	75	76	77		78	79
80	81	82	83	84	85	86	87	88		89	90	91	92		93
94	95	96	97		98	99	100	101	102	103	104		105		106
107	108	109	110	111		112	113	114	115	116		117	118	119	
120	121	122	123	124	125	126		127		128	129	130	131	132	133
	134		135	136	137	138	139		140	141	142	143	144		

J. L. Bielsko-Biala. Czyta się nie bez zainteresowania. Jednakże jako utwór, którego mają dotyczyć pewne wymagania kompozycji, konstrukcji, formalnego kształtu, ten fragment monologu wewnętrznego nie może być potraktowany. Na dobrą sprawę nawet się nie kończy. „Notes autora” — tak by to można nazwać. Z pewnością wiele spostrzeżeń w nim zawartych przyda się w późniejszej pracy, ale czytelnik wolałby coś bardziej „zobiektywizowanego”.

J. D. Lublin. Zazwyczaj unikam wypowiedzi, jeśli ma dotyczyć tylko jednego utworu, ale tu może warto zaryzykować. Otóż podobno mi się ten stan zamyslenia, to spokojne zadumanie wyrażone w rytmie powolnym i statecznym. Jakoś mi to porządkuje Bryllem, którego poezja wydaje się zawierać połączenie Norwida z Kochanowskim. Myślę, że na tym kontaktów nie kończymy.

W. K. Czarnystok. Powiem szczerze: w tych wierszach jest naiwność, ale proszę się nie obrażać. Mam na myśli naiwność ujmującą, bezpośrednią, naiwność jako brak pfozy. To składnik postawy poetyckiej bardzo potrzebny, a z pewnością w sumie przydatniejszy od umiejętności korzystania z turnala poetyckiej mody. Na razie nie skorzystamy, ale warto pracować dalej.

Z. G. Lublin. Jestem zawsze zadowolony, kiedy autor oczekuje odpowiedzi podobnej do postawienia noty. Owszem, piszący wiersze chce w końcu wiedzieć „jakie one są”, ale zadając jednoznaczny werdykt stawa pracownika redakcji przed zadaniem nie do wykonania. Uchylam się. Wolę zauważyć, że jest w tych wierszach jeszcze sporo łatwej „filozoficzności” w rodzaju „gdzie spojrzę bezkres”, a także banalnych sformułowań, jak „otulona w śnieżną biel”. Trzeba się tego porzyć. W ogóle wydaje się, że postawa Pani jest za mało skupiona, że poprzestaje Pani na powierzchownej obserwacji. To należy wytknąć tym bardziej, że w wierszach są fragmenty świadczące o trafnym poetycko reagowaniu na rzeczywistość.

J. F. Lublin. Nie można zaprzeczyć, że wiersz wyraża pewną dociekliwość, upór w dochodzeniu do ostrości widzenia, ale równocześnie jest przeładowany barokiem metaforyki dość w dodatku dowolnej. Musi Pan przyznać, że czytelnik miejscami ma prawo nie wiedzieć o co chodzi. Proponowałbym więcej prostoty, tym bardziej że Pan wydaje się mieć coś do powiedzenia i to „coś” z pewnością korzystniej zrealizowałoby się środkami mniej „sproblematyzowanymi”.

A. M. Krasnystaw. Proszę Pana, my tego nie wydrukujemy, ale to nie znaczy, że pomyłka jest Pana zwrot w kierunku literackim. Nadesłane utwory jeszcze nie spełniają wymaganego minimum, przede wszystkim z powodu zbyt młodego wieku autora, ale posiadają jedną niezaprzeczną wartość: brak zmanierowania. To duży atut. Tym bardziej że nie widać, by przyszłe doświadczenia, które niewątpliwie nadejdą, miały zniszczyć widoczną w utworze świeżość, młodzieńczość, żywy stosunek do słowa. Zalecamy więc cierpliwość, ale sami z zainteresowaniem czekamy.

M. P. Krasnystaw. Tak Pani pisze o przywiązaniu do przeszłości, że kiedy doczytałem się wreszcie do Pani wieku (16 lat), przetrąciłem okulary nie dowierając swojemu wzrokowi. Komu to mówić o tradycji! Owszem, wolno Pani mieć swój ulubiony wzorzec, model, kanon (tak niechętnie patrzy się dziś na te słowa) poetycki i wolno go łączyć z poetycką tradycją, ale nieprawda, że tylko on zawiera możliwość wypowiedzenia szczerzych uczuć. Owszem, w stylizacji współczesnej tkwi niebezpieczeństwo zakłamania, ale przez bierne naśladownictwo tradycji jakże często popełniamy naiwność. Niestety, to drugie w Pani wypadku zachodzi. Konieczne trzeba się pozbyć tych rozwekłych i sentymentalnych opisów, które nie zawierają żadnych treści, a są tylko jeszcze jedną odbitką zużytych już do niłkości sztamp stylizacyjnych. Poza tym — trochę czytać i poczekać na nadejście wieku bardziej sposobnego do zastanowienia i refleksji.

M. S. — U. Wojciechów. Najgorsze, że Pani wiersze wywołują latwą zgodę. Żadnego oporu, żadnego dialogu z czytelnikiem. To znaczy, że nie porusza Pani spraw dla twórczości najważniejszych, czyli wątpliwych. Zgodziliśmy się już na cieniutki, na słowki, na jezioro i Pani to powtarza nie dodając niczego od siebie. Wiersz nie zachęca o uwagę, niezależnie od tego, że czasem trafi się określenie ciekawe i oryginalne.

J. C. Ludmiłowa. Jest w tych wierszach przy całej ich nieporadności pewna przekonująca żywotność, coś samorodnego. To bardzo dobrze, że początek nie polega na nadpstrywaniu innych. Ale niedobrze, że nie widać perspektywy wyjścia poza dotychczasowy krąg widzenia. Ta swoiste nie zastana lekturami może się przekształcić w ograniczenie. Trzeba nabrać kultury literackiej, większej umiejętności operowania słowem, by nie zmarnować tej zdolności do własnego spojrzenia, jaka w nadesłanych utworach już istnieje.

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu litery na miejsce odpowiadających im liczb i odczytać rozwiązanie — zdanie ze znanej powieści wybitnego polskiego pisarza, którego 50-lecie śmierci przypada w tym roku. Początkowe litery pierwszych 14 wyrazów pomocniczych utworzą jego imię i nazwisko. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa.

Wyrazy pomocnicze
25. 11. 74. 28. 39. 142 — stryj Pana Tadeusza,
41. 23. 187. 4. 80. 182. 112 — ubijak do mięsa,
5. 16. 21. 10. 78. 20. 138. 81. 57 — wyposażenie,
2. 47. 56. 128. 90. 105. 18 — wieloryb „zab”,
8. 59. 24. 13. 93 — liść z głowicy kolumny korynckiej,
7. 45. 88. 119. 27. 99. 114. 34 — Cisy w „Ludziach bezdomnych”,
84. 29. 6. 17. 32. 66. 71 — miasto pow. w woj. warszawskim,
48. 36. 68. 123. 82. 52 — wydanie papierów wartościowych,
79. 31. 53. 77 — mistrz Polski w pilce nożnej,

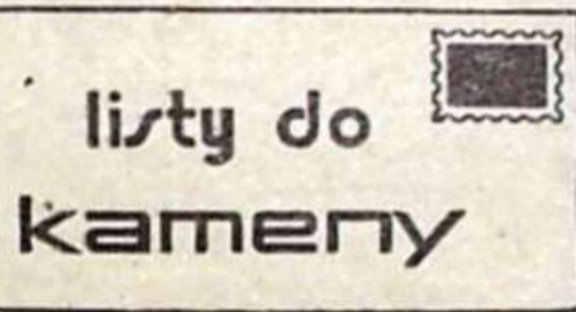
104. 9. 115. 83. 50. 131. 160 — trudna sytuacja, tarapaty,
15. 35. 129. 69. 44. 118. 63 — między Hezbami i określeniem wyrazu pomocniczego,
37. 84. 33. 134. 58 — wyraz,
12. 72. 122. 40. 30. 60. 49. 65. 127. 67 — sklep „Domu Książki”,
3. 85. 130. 64. 113. 70 — powieść Dostojewskiego,
54. 89. 102. 91. 53. 61. 73 — producent mięsa,
46. 144. 136 — autor „Złotego zuka”,
76. 62. 43. 95. 101. 132 — przynosi deszcz,
92. 1. 96. 141. 117. 135. 87 — zespół do zbadania jakiejś sprawy,
133. 111. 137. 14. 103. 125 — wyrastają z niej liście i kwiaty,
121. 42. 22. 106. 116. 98 — południowe drzewo iglaste,
129. 139. 140. 26. 109. 124 — tłuszcz przeplatany mięsem,
38. 143. 97. 110. 19 — jesienią i wczesną wiosną wychodzą na pola,
51. 126. 86. 75 — miasto powiatowe w woj. kieleckim.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-850 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 10 był fragment wiersza Władysława Broniewskiego „Ślubowanie młodych”:

„Ślubujemy tobie, Ojczyzno,
kiedy dzień roboczy nam nastal,
póść budować z młoda teżyzną
nowe huty sztolnie i miasta.
W dłoniach młot, kilof i lom
zbudujemy wolny nasz dom”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 10 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Stanisława Janczarek, 23-212 Wilkołaz Górny, pow. Kraśnik; Urszula Buchoska, 17-100 Bielsk Podlaski, ul. Krzywa 4; Ewa Denisłuk, 84-300 Lębork, ul. Wolności 34 m. 2; Mirosław Kot, 20-219 Lublin, ul. Odlewnicza 6 m. 74.



POCHODZENIE SPOŁECZNE

Któż z nas nie wypowiedział się w tej kwestii, bardziej lub mniej świadomie, chociażby przy okazji podejmowania nauki w szkole, albo zgłaszania akcesu do organizacji społecznej? Uтары się aktualnie trzy podstawowe określenia pochodzenia: robotnicze, chłopskie lub inteligentne. Zanikło na przykład określenie „drobniomieszczańskie” — powszechnie przyjmowane jako synonim wsiwskiego co najgorsze (dlaczego?). Choć mówi się o chłoporobotnikach, nikt, na szczęście, nie próbuje jeszcze klasyfikować odpowiednio potomków tej grupy ludzi.

Co ma decydować o pochodzeniu społecznym, jakie okoliczności należy brać pod uwagę? Moment urodzenia się przez ankietowanego i status jego rodziców w tym czasie — praktycznie najczęściej ojca — czy też każdorazowy status rodziców w chwili udzielania odpowiedzi na ankietę?

Zarówno przyjęcie jednego jak i drugiego rozwiązania jest chyba nieracjonalne.

W aktualnych stosunkach społecznych bardzo często obserwujemy przeciwieństwo, że chłop staje się robotnikiem, dokształca się i staje... Inteligentem. Czy jego kolejni potomkowie mają więc wykazywać różne pochodzenie społeczne? Zagadnienie komplikuje się w środowisku wiejskim, gdy jedno z rodziców jest np. nauczycielem, a więc inteligentem, a drugie chłopem. Jak wówczas wykazywać pochodzenie społeczne dziecka? Czy dziecko wychowywane przez matkę robotniczą, której mąż inteligent odeszedł w „sina dal”, ma być do końca życia obciążone „pochodzeniem inteligentkim”? A jak wreszcie „zakwalifikować” dziecko, którego rodzice po ukończeniu studium powracają na wieś i prowadzą dobrze prosperujące gospodarstwo rolne?!

Leszek Kędziński
Lublin

„GARMONDEM”

W związku z notatką prasową pt. „Garmondem”, zamieszczoną w nr 8 „Kamery” i dotyczącą nieprawidłowych warunków podróży w wagonie sypialnym na trasie Lublin—Szczecin, Zarząd Przedsiębiorstwa Wagonów Sypialnych i Restauracyjnych „WARS” zwraca się z prośbą o podanie daty przejazdu opisanego w notatce wagonu. Uzyskanie tej informacji umożliwi przeprowadzenie przez Zarząd PWSIR „WARS” szczegółowego dochodzenia skut-

bowego i wyjaśnienie przyczyn opisanych nieprawidłowości. O wynikach przeprowadzonego dochodzenia zawiadomimy wszystkich zainteresowanych niezwłocznie po jego zakończeniu.

Dyrektor
Józef Pączek

Od redakcji: Wagon znajdował się w składzie pociągu, który wyruszył z Lublina 24, a przybył do Szczecina 25 marca br.

„WITRYNA LUBELSKA W 1975 ROKU”

Z prawdziwym przerażeniem dowiedziałem się z informacji „Witryna lubelska w 1975 r.”, podpisaną RD, („Kamera” nr 10), że bez mojej wiedzy zmieniono mi imię, mimo iż od 34 lat wszyscy mówią do mnie Ryszard i tym samym imieniem (z dodatkami nazwiska) podpisuję swoje wiersze. To jeszcze nie straszne. W tej samej informacji wyczytałem, że mój tom wierszy ma mieć tytuł „Szukam człowieka”, a nie jak ustalono wcześniej w Wyd. Lubelskim „Szukanie człowieka”.

Naczynia goręcej dopełnia stwierdzenie, iż jest to mój debiut książkowy. Otóż nie! Łaskawie informuję, że w roku 1973 ukazał się mój tom wierszy nakładem TPN w Międzyrzeczu Podl. „Wyjście z ciszy”. Jeśli mnie pamięć nie myli, p. Krystyna Makula-Trochimuk też jest po debiucie książkowym.

Łączę serdeczne pozdrowienia
Ryszard Kornacki
Międzyrzec Podlaski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeraty indywidualnych czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz Biuro Instytutu Państwowego i Społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe małe siedziby na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 60-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100624. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzeżenie sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i olatki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1393. 30.V.75 r. K-4.

Numer łamali: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki 275-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-850 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 (uwaga nowy numer!); polecione i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu: 36100/2623

Niby drobiazgi ale...

NIIE potrzeba odwoływać się aż do warunków postępnego biegnącego czasu, by stwierdzić istnienie pewnych nie zauważalnych codziennie zjawisk, dość nieoczekiwanie zajmujących miejsce w naszej rzeczywistości. Kiedyś zaczęły być, dzisiaj są i nikomu nie przychodzi do myśli zastanawiać się nad ich uzasadnieniem. Ale wystarczy moment odprężenia, czy zwykłej la-by od zgiełku dnia, by pewna doza krytycyzmu znowu pojawiła się w naszym reagowaniu na rzeczywistość.

postępujesz. Jeżeli to, co jest wydrukowane nabiera znaczenia dopiero po rozłączeniu do rozmiarów elephan-tiasa, to widocznie nie czuje się mocno w swej treści. W dodatku wyolbrzymia się w ten sposób obszar wyrażenia, bo niesłusznie opinie i spostrzeżeniom całkowicie przecieknie, byle tylko uczynić zadosiad formalnym wymaganom eksurejsji graficznej. W ogóle pisma się rozbestwily. Niektóre z nich najchętniej by na mnie warczyły, strzelały do mnie z wodnego pistoletu, przyklagałyby mi łaską za szyję. Bo normalne formy reklamy — te, które działają przez jakość oferowanego towaru — wydają się z góry mało skuteczne.

W ten sposób — i tu trzeba zauważyć — pewne obszary życia umysłowego zbliża się do rynku spiewanej rozrywki, tej bardzo niewyszukanej, tej niewybrednej, tej liczonej od metra i ilości decybeli. Nie chciałbym być rozrywany w ten sposób. Ja oczywiście się nie liczę i sposób, ja oczywiście nie zostaje nie usłysza-nym w zgiełku ryczących tytułów, ale warto się chyba tym zainteresować. Jako zjawiskiem socjologicznym. Jak w odniesieniu do środowiska naturalnego następuje proces skazania inwazją środków chemicznych, tak daje się zauważyć pewne zagrożenie środowiska humanistycznego, jego pojęć, jego kryteriów, jego ustalonych wartości. Oczywiście, trw. przeciwny konsument słowa co tydzień drukowanego może odpowiedzieć słowami deróżkarza z pewnego wiersza Gałczyńskiego:

Świat się chwileje? Być może.

Cztery złote na dworzec, ale w ten sposób wyraża się tylko jego zniechęcenie. Jego gruba skóra wyrosnięta już na miejscu przesadnie często i przesadnie mocno atakowa-nym. Jedno martwi ponad wszelką wątpliwość: że choć przeciwdziałania podobnym zjawiskom odnosi skutek co najwyżej taki, jak kiedyś działalność charytatywna w stosunku do bezrobocia. Jak tam była domeną pań bardziej zaferowanych swą szlachetnością, tak tu jest tematem fe-

letonistów mających sposobność do wypowiedzenia paru ciekawych (i nie tylko), czy byskotliwych (i nie tylko) opinii. W sumie: nie rozniesz-ram szat, ale pewna zbieżność między prasą literacką a brzaaskiłą piosenką jest czymś nieoczekiwanym. Także nie przekonuje mnie telewizyjny tytuł „Sam na sam”. Kto tu jest sam? Publiczność jest zaprezen-towana masą listów, na które nie wszystkie da się w rozmiarze audy-cji odpowiedzieć. Autor? Autor jest wspierany przez swojego rzecznika, ponadto ma wielu „sprzymierzeńców” ze strony publiczności. I w ogóle nie ma uzasadnienia, jeśli narzą audycji chce się zasugerować, że rzecz rozgrywa się na zasadzie meczu bokserkiego. Nikt tu z nikim nie walczy — więc chyba znowu za-działala tendencja do „uderzeniowej” reklamy, nie bardzo potrzebna, skoro audycja i tak cieszy się raczej zastutoną popularnością. Więcej uzasadnienia posiadał już tytuł „Wszystko za wszystko”. Sugerował pełną, szczerą wymianę poglądów, bez przemilczeń i niedomówień, ale również — bez walki.

A „Dobranoc” dla dorosłych? Łatwa pointa tych obrazków z takim zaangażowaniem podawana przez Jana Kobuszewskiego zaczyna obrastać coraz bardziej miłąką miłąką scenek, w których Kazimierz Wichniarz wyraźnie dewaluje swoje zalety jako wcielenie imię pana Zagłoby. No i ta „Dobranoc” przypadająca na godzinę 20.30, kiedy jeszcze nikt z dorosłych nie kładzie się spać. A muzyka jako hasło wywoławcze? Komu tak komu, mnie się kojarzy z wyciem cmentarnych siomach, których wprawdzie nie słyszałem, ale których takie produkcje wyobrażam sobie na podstawie lektury dawnych, mrozących krew w żyłach pamiętni-ków. Czyżby „Dobranoc” dla doro-słych” miała być zaproszeniem do udanja się na spoczynek wieczny? Brz. Chęć jeszcze pożyć. Dlatego wolałbym umknąć również pewnym zaproszeniom do życia doczesnego.

Ijon

Tamiza się pali!

PRZYJECHAŁ do naszej instytucji przedstawiciel angielskiej firmy „For you”. Wszedł do gabinetu dyrektora i zaraz rozdzwonił się telefonem. Dyrektor gwałtownie poszukiwał temienia Dziecioleka. Znaleźliśmy go w szatni, gdzie właśnie reperował wieszaki. Nigdy nie mieliśmy z niego żadnego pożytku. Ci, mekiedy w czasie popołudniówek towarzyszyliśmy recytowa-nam w oryginalne wiersze szekspira. Nial go jednak nie słuchał. Jedyń zresztą mogło być inaczej, kiedy i Gałczyński nie miał u nas wspania. Tosirowaliśmy jedynie Jasia Pijanka, który na kaszą oszczędnie ułożył sto-sowną frazę. Wszystam się od niego dostawało, a naj-więcej już cierpiaty nasze sprzątać. Wotecz nich Jasio był bezsilny. Tak na przykład recytował: „Powiem bez ostudy, że tu wszędzie brud”. Albo: „Jestecie jak dzieci, wszędzie pełno śmieci”. Kub też: „Do piekła się wy-biorę, udranie wypiorę”.

Węc teraz Dzieciolek szybko pospieszył do gabinetu dy-rektora. Jasio pozyczył mu nowy krawat w paseczki, a księgowy Malinek supernowoczesną jedwabną koszulę — białą z zielonymi listkami. Koszula wprawdzie była o trzy numery za duża, ale kto by się takimi drobiazgami przejmował!

Staliśmy pod drzwiami, skąd dochodziły do nas po-zzczególne słowa: „I am sorry”, „Yours sincerely”, „I like that coat”, „I have a room to myself”, „The right thing”, „The sky is clearing”, „Thanks so much” itd. itd. Powiało Europą, czulimy, że Thanka nam skrzydła u ramion. Pani Basia w pewnym momencie omal nie zem-diała z wrazenia:

— Jak pięknie mówię po angielsku ten nasz Dzieciolek! — zawołała. — Boże, tybym była panną, zaraz zakre-ciłabym się koło niego. Toż to prawdziwy światowiec!

Panna Jadzia, która zdopyła najlepsze miejsce przy dziurce od klucza, na gorąco dzieliła się wrazeniami:

— Stary wyciągnął z szafy Napoleona. O, rozlewa wład-nie. Stuknęli się! Stary wypił jednym haustem cały kie-liszek, a zagranicznik tylko umoczył usta. Ma tego dosyć u siebie! Lepiej by było, gdyby Stary uraczył go ty-niówką!

— A Dzieciolek, Dzieciolek! — zakrzyczano pannę Basię. — Dzieciolek pije!

— Nie, bo dyrektor ma tylko dwa kieliszki. Przecież całą resztę wytuukiliśmy ostatnio!

Nie wiedzieliśmy, kiedy zleciała godzina. Panna Jadzia w porę nas ostrzegła, że wzięta donoga końca, pospiesz-nie zajęliśmy więc miejsca za biurkami.

W drzwiach gabinetu ukazał się gość, dyrektor prze-puszczył go szarmancko, i teraz zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Gość coś powiedział, referent Dzieciolek zarumie-nił się jak panna z XIX wieku, dyrektor spoglądał na niego przenikliwie, nikt nie wiedział, o co chodzi. Wresz-cie padło słowo „automat telefoniczny”. Dzieciolek usi-łował tłumaczyć, ale widać było, że sam niewiele roz-u-mie:

— Nasz gość pyta, gdzie tu jest automat telefoniczny, bo chce zadzwonić w prywatnej sprawie.

— Po co nam automat? Przecież wszędzie na biurkach stoją telefony!

Kiedy Dzieciolek przetłumaczył słowa dyrektora, zauwa-żyliśmy, że zagranicznik zrobił bardzo głupią minę. Coś powiedział po angielsku, a Dzieciolek oznajmił nam po polsku:

— Nasz gość jeszcze raz podkreślił, że chce zatelefono-wać w prywatnej sprawie i dlatego szuka automatu.

— No przecież mówię, że wszędzie są telefony! Niech dzwoni ile chce i do kogo chce. Chyba, że ma jakieś tajem-nice. U nas demokracja, wszystko jawne. Niech pan mu zresztą powie, panie Dzieciolek, że tu nikt nie zna angielskiego. Nie musi się kłepować. Pan przecież wy-jdzie z pokoju. Jasne?

— Jasne, panie dyrektorze! — Dzieciolek wszystko posłusznie przetłumaczył. Gość machnął ręką, nakręcił jak-kiś numer, coś tam pogadał, a potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął złotówkę.

— Gdzie tu jest skarbonka na pieniądze? — powtórzył jego słowa Dzieciolek, który cały czas czyhał pod drzwia-mi.

Dyrektor spurpurowiał:

— Jaka skarbonka, do cholery? Co my dzisiaj jesteśmy, czy co? — zawołał i poklepując jedną ręką cudzoziemca po ramieniu siłą wpychał mu drugą ręką złotówkę z po-wrotem do kieszeni.

Szarpali się tak przez moment, a gdy wreszcie gość uległ i znalazł się za drzwiami, nasz Stary zauważył:

— Dziwny facet. Strasznie dziwny facet. — I zniknął w czeluściach swego gabinetu.

— Widziałem Anglika, który spadł z byka — rymnął Józio Pijanek.

Jak dorwaliśmy się teraz do telefonów!

— Słuchaj, co za wariat przyszedł dzisiaj do nas! — wołała pani Basia do swego męża. — On u nas w biurze szukał automatu telefonicznego!

— Tamiza się pali! — krzyczała panna Jadzia do swego narzeczonego.

Na szczęście Wisła płynęła, jak zwykle, normalnie. Pierw-szy zauważył to Dzieciolek przeciągając się leniwie przy oknie w trakcie zmieniania krawatu i koszuli. W starej (białej z nylonu) też mu było dzisiaj do twarzy.

I co jest tu najsmieszniejsze (lub najsmutniejsze)? Ze historia z cudzoziemcem i telefonem to autentyki! Tylko tzw. otoczka miła się z prawdą!

MAJ

Jadwiga Podbielska MYŚLI

Dialektyka żąda ofiar.

Smutek ścina radość w określony kształt.

Na tyle liczy się dzień, na ile wyodrębni się od innych.

Nie jest pocziwy, kto wysnuwa zbyt daleko idące wnioski.

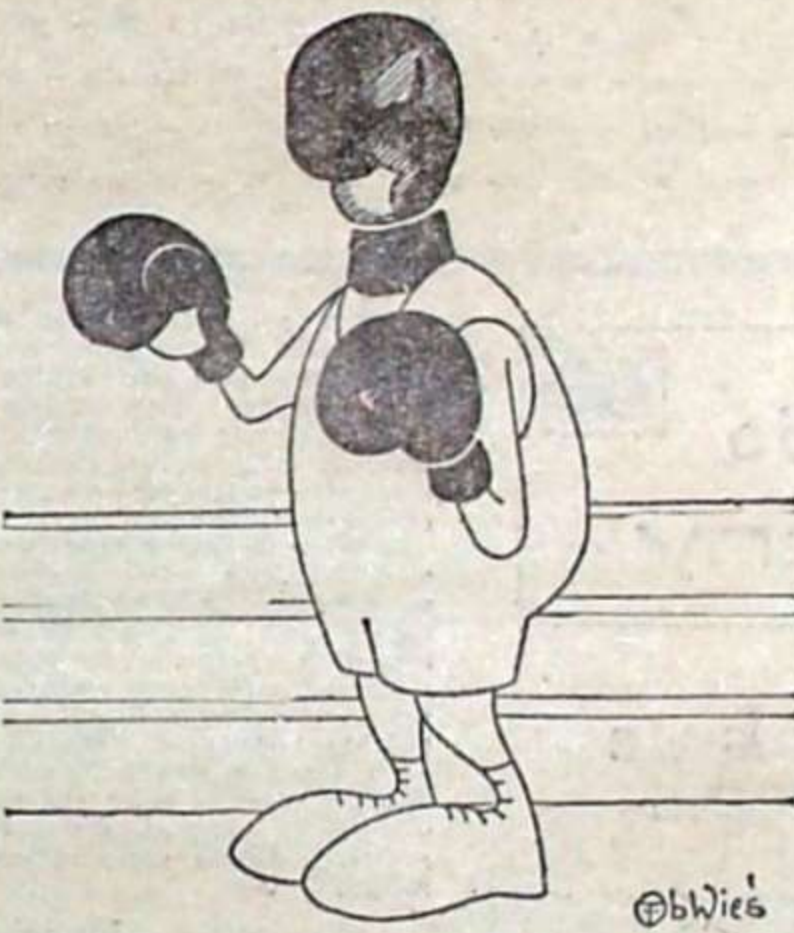
Wartość wielu dzieł tym szybciej staje się historyczna, im doskonalejsz poddają się one własnej konwencji.

Ugania się za groszem, jak tylko to może robić prawdziwy poeta.

Zwierzajmy się gwiazdom w epoce penetracji księżycy.

Najbardziej przeszkadza to, co przestaliśmy kochać.

Różne reguły naszego postępowania używają się najmniej ze wszystkich części zamiennych.



Rys. W. Fuglewicz

KOCI PAZUR Ziemowit Samożyciek

Kilku naszych czytelników zapytuje, czy „Koci pazur” opiera się na lubelskich realiach. Bardzo się cieszymy, że wielu autorów czerpie tematy do swych powieści z życia. Ziemowit Samożyciek, jak samo nazwisko wskazuje, jest do tego specjalnie predysponowany. Mimo to jednak woli bujać w obłokach. I dlatego zapewniam nas, że żadne nazwisko nie jest autentyczne. Jeśli więc ktoś kogoś utosiama, czyni to na własną odpowiedzialność! A co do lubelskich realiów... Czy w ogóle można o nich mówić?

— W plener? — Michał odpowiedział pytaniem. — Może to i dobry pomysł! Miałabyś konkretną propozycję?

— Tak. Myślę, że w lipcu moglibyśmy na kilka dni wyjechać na Mazury. Mamy bezpośredni autobus, bilety można wcześniej wykupić. Jeździł do Wrocławia, co ci więc stoi na przeszkodzie, aby wybrać się nad jeziora? Ja mam nawet temat dla ciebie: „Olzyńskie po reformie administracyjnej”.

— Dobrze, dobrze, ale co naszą gazetę może obcho-dzić inne województwo?

— Ależ ty myślisz jak prowincjusz! Tyle razy już czytałam, że nasz kraj nie jest federacją województw! Sądzi się, że przeciętnego mieszkańca naszego nowego województwa bardziej będzie teraz interesować Biały niż Olzyń, Stupsk czy Siedlce? Powiem ci więcej: myśmy się wszyscy zastępowali, staliśmy się strasznymi mieszczanami, przed którymi już Tułom ostrzegali. Mieszkan-ko, telewizorek, ciepła koldierka, no i praca, zło konieczne, którą trzeba codziennie odbębnić. Do tego gro-no określonych kolegów, przyjaciół, o których wiesz więcej niż wieszcieć powinienes. Czy ty nie masz czasu-

mi ochoty rzucić tego wszystkiego w diabły i zacząć po nowemu? Człowiek ma tylko jedno życie!

Michał zamyslił się. Zapalił papierosa, zaciągnął się, próbował zrozumieć Mirkę. W pewnym momencie poczuł, że różnica lat to jednocześnie różnica poglądów. Przed nią było całe życie, jemu było już bliżej niż dalej do końca wędrówki. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł zaczynać od nowa. Wydawało mu się, że w słowach dziew-czyny widzi podteksty. Chciał to bliżej wyjaśnić.

— Czy nie mam ochoty? Czasami mam. Naprawdę mam. Ale jaką ja mam gwarancję, że gdzie indziej będzie mi lepiej?

— A czy ja mówię, że ma być lepiej? Ale na pewno będzie inaczej. Ty usiłujesz pisać. Dobrze, że usiłujesz. Ale skąd będziesz czerpał tematy?

— Po prostu z życia.

— A czy właściwie znasz życie? Pójdziesz do fabryki, posłuchasz, co ci powie dyrektor, czasem, aby być w zgodzie z samym sobą, porozmawiasz z produkującym robotnikiem, pójdziesz na zebranie i wyjdzie ci się, że zjdziesz wszystkie rozumy...

— No, no, nie tak ostro! Wybrałaś się dzisiaj z mora-łami. A jakie ty właściwie masz prawo, aby podau-mowywać moją pracę? Znasz ją, czy co? Ty, która na-wet małej notatki nie napisałaś do gazety?

— Ja nie napisałam, ale czytam, co piszą tuoi kole-drzy. Przecież na pierwszą rzut oka widać, że wiele in-formacji powstało na podstawie rozmowy telefonicznej. A te wasze wywiady! Gdy je przelądam, to czasem ogarnia mnie śmiech pusty. Przychodzi dziennikarz i py-ta dyrektora, prezesa czy kogoś tam jeszcze. Wszystko skrzętnie notuje...

— No, mamy już magnetofony...

— Dobrze, dobrze, to nie zmienia postaci rzeczy. Cho-dzi mi jednak o to, że rzadko który z was potrafi być partnerem rozmówcy. Rzadko kiedy wpada w ton po-lemiczny. Te wywiady to cukierki. A w moim pojęcia wywiad powinien przypominać obiad z ostrą przystaw-ką...

— Z solą, z pieprzem i może z ćwikarką... Kto cię na-uczył takich rzeczy? Od kiedy to jasko mądrzejsze od kury?

— Oburzasz się, bo prawda w oczy kole.

— Słuchaj, dlaczego ty właściwie poszłaś na prawo? Trzeba było steroować w kierunku dziennikarstwa!

— A kto ci powiedział, że nie steruję? Czy w twoim gronie nie ma dziennikarzy-prawników?

Rozstali się dość chłodno. Michał by wściekły. Tym bardziej wściekły, bo zdawał sobie sprawę, że to, o czym mówiła Mirka, nie było zwykłą demagogią. Przypomnił sobie, że sam wielokrotnie, aby powiększyć własną cześć, czerpał wiadomości z rozmów przez telefon. Usprawied-liwiał się, że jest zmęczony, a w gruncie rzeczy był po prostu wygodny.

Swoją wściekłość wyładował w domu. Przyczyną awan-tury stała się datona nierozmrożona lodówka.

— Sam to możesz zrobić. Czy cały dom musi być zawsze na mojej głowie? — usłyszał. — Dziecko — ja, zakupy — ja, sprzątanie — ja... Co ty myślisz, że siedzę w domu z założonymi rękoma? Hrabia się znalazł!

— Hrabia nie hrabia, ale mam ochotę rzucić to wszyst-ko w diabły.

— To po co się żeniłeś? Matłóstwo to wspólne obow-iązki, a ty chcesz że mnie zrobić sztućką.

— Znowu zaczynasz?

— Nie zaczynam, ale po prostu już nie mam siły. Ty uważasz, że jesteś do wielkich rzeczy stworzony, na-wet palcem nie kiwniesz, aby mi pomóc.

— Ja pracuję, piasez po nocach... — Przerwał, bo za-dzwonił telefon. Usłyszał głos swego kolegi, Mariana.

— Sprzedaję samochód.

— Zwartłowałeś? Co ci znowu przyszło do głowy?

— Moja stara dostała prawo jazdy, pojechała na mia-sto i drzew rozwałiła o ślupek.

— I cóż takiego się stało? Wyklepiesz i wszystko bę-dzie okej.

— Dział drzewczki, a jutro cały samochód pójdzie u drobiazgi. Dziękuję za taką spole!

— To nie możesz jej dodatkowo poduczyć?

— Spróbuj, jak jesteś taki mądry. Zresztą już zadecy-dowałem. Mam kupca. Sprzedaję, dzielę się z nią pół na pół forsz. Uzbieram trochę pieniędzy i kupię sobie sa-modzielny wóz. Dość mam spółek. Nawet z ubłąną zo-ną... Co robisz? Może byśmy strzeliłi pół literka? Suszy mnie.

— Zostawmy na inną okazję.

— Jak chcesz. Ja w każdym razie proponowałem.

Michał powtórzył treść rozmowy tonie. I dodał:

— I ty mnie namawiasz do kupna samochodu? Żeby był jeszcze jeden powód do kłótni!

(con)